NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 4. sierpnia 1917. Nr. 31.

Pochód na Rosyę.



Cesarz Karol (×) przed pozycyami rosyjskiemi w Szybalinie pod Brzeżanami.

Pochód na Rosyę.

Przerwanie frontu rosyjskiego w dniu 19 lipca między Strypą a Seretem przybrało rozmiary nieoczekiwane dla nikogo i stało się zupełną katastrofą dla armii rosyjskiej w Galicyi. Pościg za nią przeobraził się w prawdziwy pochód na Rosyę, w którym wojska niemieckie i austro-węgierskie prą niezmordowanie naprzód już blisko dwa tygodnie, wydzierając nieprzyjacielowi kawał za kawałem ziemi galicyjskiej, a wreszcie już i rosyjskiego Podola. Dokąd zajdzie ta rozpoczęta ofenzywa, przewidzieć trudno wobec jej rozpędu a słabego oporu nieprzyjaciela.

Ogólny pogląd na pierwszy tydzień tej gwałtownej ofenzywy, przypominającej swym rozmachem gorlicką, dał wprost nieoczekiwane wyniki. Jak wiadomo, na froncie nie dłuższym nad 25, a nie głębszym nad 15 km., przerwano front rosyjski między Strypą i Seretem. Uderzenie było tak gwałtowne, że uczynionej wyrwy nie zdołał już nieprzyjaciel zapełnić. Niezawodnie przyczyniło się do tego rozprzężenie w armii. Nie było ono jednakowoż główną przyczyną katastrofy. Gdyby natarcie wypadło słabiej, byłaby łatwo wróciła dyscyplina. Jak grom jednak spadł atak na nieprzyjaciela i powalił go od razu. W tym celu wygięło się dane skrzydło w prawo i w ciągu trzech dni dosięgło przestworza Tarnopola. Tego rodzaju operacya jeszcze nie zdarzyła się w ciągu obecnej wojny. Już pierwszy zaraz dzień ofenzywy sprzymierzonych przyniósł zapowiedź tryumfu. Wyraźnie przytem zarysowało się wychylenie północnego skrzydła. Równocześnie w sąsiednim odcinku brzeżańskim linia nieprzyjacielska doznała również wstrząśnienia tak, iż na przestrzeni około 60 km. front zmierzający pierwotnie ku wschodowi, skierował się teraz na południe. Wśród tego siły zebrane na przestrzeni między Brzeżanami a Karpatami przeć poczęły w kierunku wschodnim tak, iż armia rosyjska dostała się jakby w kleszcze. Coraz gwałtowniej naciskało skrzydło północne, coraz dalej zapędzało się zachodnie w kierunku południowym. Temu dwoistemu działaniu przypisać należy, iż Rosyanie, aby nie dopuścić do zupełnego osaczenia, musieli jak najspieszniej uchodzić. Kierunek odwrotu nieprzyjaciela odpowiada też owym dwu kierunkom ataku: od północy spycha się ich na południe, od zachodu na wschód.

W ten sposób Rosyanie wypierani są zarówno na północ od Dniestru, między Zborowem a nawet Brodami i Dniestrem, jak na południe od tej rzeki. Na północ od Dniestru armie sprzymierzone w pościgu za Rosyanami przekroczyły już wszystkie rzeki z północy wpadające do Dniestru po austryackiej stronie, a w niektórych miejscach nawet dawną graniczną między Austryą i Rosyą rzekę Zbrucz. Odzyskano tu więc cały obszar „generał-gubernatorstwa tarnopolskiego“, który Rosyanie dzierżyli tyle czasu, w Tarnopolu, obecnie spalonym i leżącym w gruzach, założywszy stolicę swego władztwa nad galicyjskiem Podolem. Na południe zaś od Dniestru wyparto Rosyan jednym zamachem z całego obszaru między Stanisławowem i Kołomyją



Pochód na Rosyę: Ogólny widok Tarnopola.



Pochód na Rosyę: Pałac w Kopyczyńcach.



Pochód na Rosyę: Gen. Brusiłow, generalissimus rosyjski i gen. Gutor, głównodowodzący pobitej rosyjskiej armii w Galicyi, który podobno popełnił samobójstwo.



Pochód na Rosyę: Kołomyja — ul. Jagiellońska.



Pochód na Rosyę: Dworzec kolejowy w Brzeżanach.

i zajęto oba te miasta, a w chwili, gdy to piszemy, zacięte walki toczą się o Czerniowce, stolicę Bukowiny, której zapewne Rosyanie także długo utrzymać nie zdołają, zwłaszcza wobec obejścia ich prawego skrzydła na północy. W ten sposób niezmiernie szybko skończyły się rosyjskie sny o potędze i o aneksyi na zawsze „odwiecznie rosyjskiej" Galicyi.

Niesłychane te rezultaty są w równej mierze wynikiem naporu wojsk austryackich i niemieckich, jak rozluźnienia w armii rosyjskiej. Rosyanie uciekają wszędzie w niezmiernym popłochu, nie słuchając swej komendy, zabijając swoich oficerów, którzy usiłują ich powstrzymać. Całe dywizye pierzchają przed dwiema atakującemi ich kompaniami, całe pułki poddają się, nie dając ani jednego wystrzału. Angielskie armaty, belgijskie samochody pancerne, francuskie samoloty, w które Rosyan zaopatrzyli sprzymierzeńcy, wpadają przytem w ręce zwycięzców. Armia rosyjska na południu, można powiedzieć, że nie istnieje.

Przy walkach tych wszędzie prawie byli obecni sprzymierzeni monarchowie — cesarz Karol i cesarz Wilhelm. Są oni świadkami świetnych ataków swoich oddziałów i panicznej ucieczki Rosyan z każdej, choćby najmocniejszej pozycyi, jak n. p. w Szybalinie pod Brzeżanami. Jednego tylko nie zaniedbują Rosyanie w swym pospiesznym odwrocie — niszczenia. Leżące w gruzach miasta, spalone wsie, pożary i męczeństwo ludności znaczą drogę uciekających armij rosyjskich. Wszystkie odzyskane w tym pochodzie na Rosyę miejscowości, których illustracye podajemy, przedstawiają obraz nędzy, grozy i zniszczenia.



Pochód na Rosyę: Zdjęcie lotnicze Pohdajec przed ich zdobyciem.





Zdobycz na Rosyanach. **Pochód na Rosyę**: Magazyn w cerkwi w Boremlu (Michajłówka).

Trzecia rocznica wojny.

W dniu 28 lipca, który minął niedawno, upłynęło okrągło trzy lata wojny światowej. Europa, więcej, cała cywilizowana ludzkość, obchodziła jedną z najsmutniejszych rocznic w swych dziejach. Przez trzy lata cała prawie Europa stoi w ogniu i we krwi, a ten jej stan odbił się także na innych częściach świata, tak, że nie tylko stare kontynenty, Azya i Afryka — ale także Nowy Świat — Ameryka, wciągnięta już obecnie została w straszliwe kolisko wojny.



Pochód na Rosyę: Odzyskane Brzeżany.

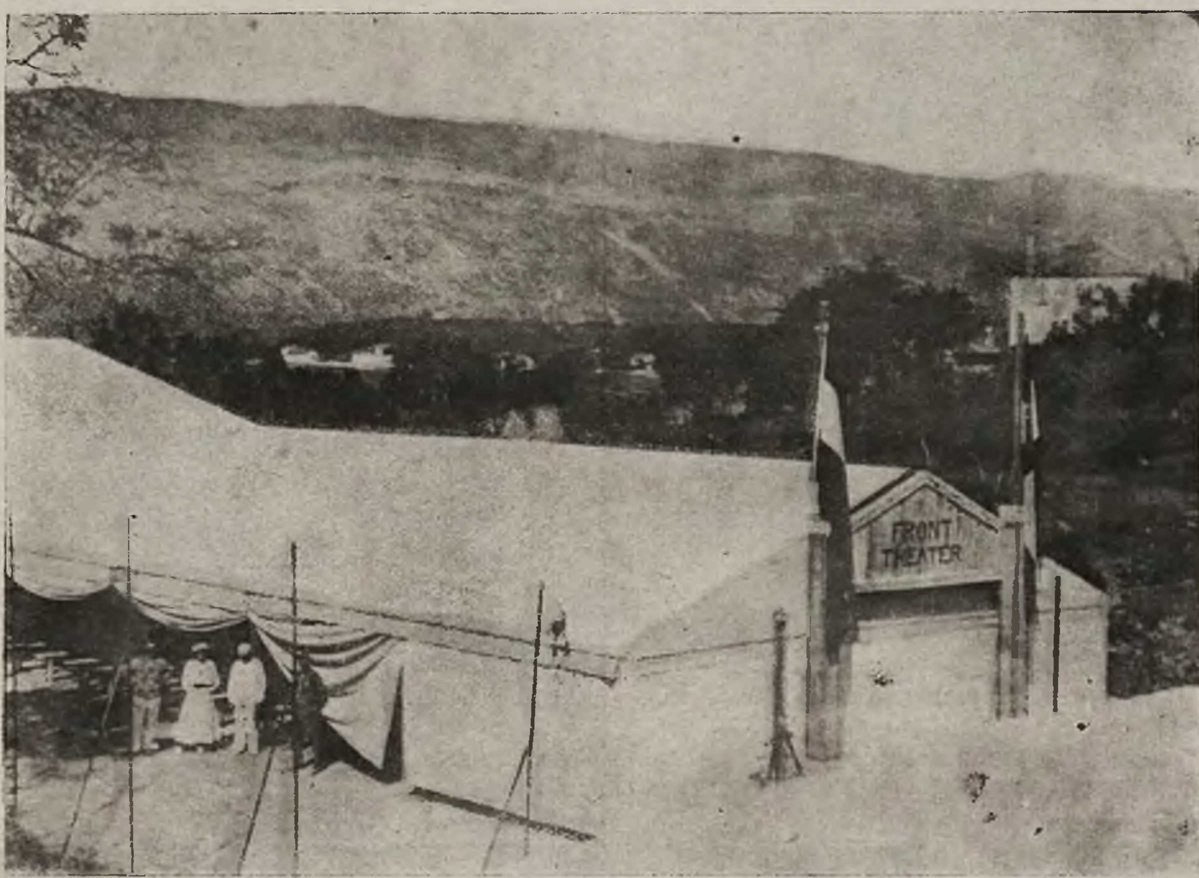
Wojna światowa rozgorzała niezwykle szybko. W dn. 25 lipca 1914 r. bar. Giessl, austro węgierski poseł w Belgradzie, na polecenie swojego rządu opuścił Belgrad.

Rząd austro-węgierski zarządził dnia 27 lipca częściową mobilizacyę swoich sił zbrojnych, a nazajutrz, to jest dnia 28 lipca 1914 r., pojawił się manifest wojenny cesarza Franciszka Józefa, równocześnie zaś nastąpiło wypowiedzenie wojny Serbii przez Austro-Węgry. Nastąpiły szybko dalsze wypowiedzenia wojny i wnet stanęły po jednej stronie Austro-Węgry i Niemcy, po drugiej Serbia, Rosya, Francya i Anglia. Później do mocarstw centralnych przyłączyły się Bułgarya i Turcya, zaś na stronę koalicyi przerzuciły się Włochy.

I rozpoczęła się epopeja wojenna, jakiej ludzkość nigdy dotąd nie była świadkiem. Do rowów strzeleckich przeniosło się około 30 milionów ludzi, stworzywszy tam sobie nieledwie stałe siedziby. Ale zanim to nastąpiło, fale potopu przelewały się w wojnie ruchowej na wschodzie i na zachodzie i na południu. Wojska niemieckie spadły na Belgię, skąd parły w stronę Paryża, wojska austro-węgierskie ruszyły pod Kraśnik ku północy i pod Chocim na wschodzie.

Na zachodzie powstał wał granitowy, chroniący od najazdu kraje niemieckie, na wschodzie fale potopu przelewały się tam i napowrót, ażeby po strasznych bojach zatrzymać się na tym wale, który dzisiaj ciągnie się od Bałtyku aż do morza Czarnego. Na południu powstała spiżowa ściana wśród Alp, o którą rozbijają się niezliczone ataki włoskie. Serbia, ognisko wojny, jest dzisiaj krajem pod zarządem Austro-Węgier, podobnie jak Czarnogóra, a Rumunia podzieliła los Serbii.

Dzisiaj, gdy rozpoczyna się czwarty rok wojny, wszystkie fronty bojowe mocarstw sprzymierzonych, tudzież Bułgaryi i Turcyi, stoją niewzruszone. Co więcej, ofenzywa wschodnio-galicyjska posuwa



Polski teatr na włoskim froncie: „Gmach“ teatru polowego.

się zwycięsko i już obecnie wolno spodziewać się, że reszta Galicyi i cała Bukowina zostaną oswobodzone z pod obcego najazdu. Tak więc bilans militarny mocarstw centralnych i dwóch sprzymierzonych z niemi państw jest świetny. Bilans zaś koalicyi przedstawia się nadzwyczaj mizernie, zwłaszcza obecnie, gdy najpotężniejszy jej filar, Rosya, grozi runięciem, a zamorska potęga Stanów Zjednoczonych na pokrycie tego ubytku nie wystarczy.

Cała ta straszliwa zawierucha wojenna wzięła swój początek ze zbrodni, jaka wówczas już wstrząsnęła światem, choć ten jeszcze nie przewidywał wszystkich jej następstw — zamachu w Sarajewie, którego ofiarą w czerwcu 1914 roku padł następca tronu Austro-Węgier, arcyks. Franciszek Ferdy-



Rzadki debiut: Jadwiga Hodakowska jako Carmen

nand i jego małżonka. W miesiąc potem, gdy za zamach od Serbii nie można było uzyskać zadośćuczynienia, wybuchła wojna. Dziś na miejscu zamachu w Sarajewie stoi pomnik, a stolica Serbii, Belgrad, skąd wyszła pobudka do zamachu, jest obsadzony przez armię austro-węgierską.

Rzadki debiut.

Partya „Carmen“ w znanej a cudownej operze, arcydziele Bizeta, należy do popisowych dla artystek i śpiewaczek pierwszorzędnych, ale też najeżona jest trudnościami wokalnemi i aktorskiemi. Wdzięczne to zadanie dla tych, co znają scenę i mają głos, groźne jednak dla nieumiejętnych. To też rzadko się zdarza, aby początkująca śpiewaczka debiutowała właśnie jako Carmen. Na taką wszakże niebezpieczną próbę wystawiła się p. Hodakowska w operze lwowskiej i wyszła z niej zwycięsko. Publiczność i krytyka zarówno oceniła należycie jej głos, dźwięczny i o obszernej skali mezzo soprano, należycie postawiony i wyszkolony przez prof. C. Zarembę, oraz talent sceniczny i temperament, które pozwoliły jej trudną tę rolę odegrać zajmująco i barwnie. W rezultacie udanego debiutu kierownictwo opery lwowskiej zaangażowało p. Hodakowską na stałe w skład personalu.

Nowy kanclerz Rzeszy niemieckiej.

(Do illustracyi na str. 9).

Przesilenie wewnętrzne w Niemczech zakończyło się tem, że kanclerz Rzeszy Bethmann-Hollweg ustąpił, a miejsce jego objął dr. Michaelis. Jest to człowiek w polityce prawie że dotąd nieznany, a pierwsze jego wystąpienie w parlamencie, z napięciem oczekiwane, przyniosło rozczarowanie tym, którzy oczekiwali wynurzeń pokojowych. Koalicyjna zagranica zwłaszcza przyjęła jego wielką mowę z nietajonem niezadowoleniem, stwierdzając, że jedyną odpowiedzią na program nowego kanclerza może być dalsza wojna. Niemało było niezadowolonych z niej i w państwach centralnych, gdy w międzyczasie nastąpiła niezmiernie udana ofenzywa na wschodnim froncie. Szczęśliwy jej obrót umocnił stanowisko nowego kanclerza, a jeżeli towarzyszyć jej będzie dalsze powodzenie, to wraz z nią dr. Michaelis może wyrosnąć na wielkiego męża stanu.

Wojna w Azyi.

W ostatnich czasach ucichły wiadomości o działaniach wojennych na azyatyckim terenie. Anglicy wstrzymali swoją ofenzywę w Syryi i Mezopotamii, Rosyanie na Kaukazie i w Persyi, a Turcy tymczasem, korzystając z tej przerwy, gromadzą i organizują swe siły do nowych zapasów. Przez góry i wąwozy Małej Azyi ciągną transporty świeżych wojsk na wschód, przez piaszczyste pustynie ciągną karawany wojenne wielbłądów. Albowiem przecież o te to właśnie przestrzenie wojna obecna właściwie się toczy — Niemcy dążą do stworzenia wielkiego związku państw na przestrzeni Berlin-Bagdad pod swoim protektoratem, Anglicy pragną im w tem przeszkodzić, bo to podcięłoby ich władztwo na oceanach, zagroziłoby ich panowaniu nad Indyami, tą perłą angielskiej korony. Działania wojenne w Azyi, choć chwilowo przycichły, niedługo muszą rozgorzeć na nowo na większą skalę.



Trzecia rocznica wojny: Pomnik ku czci zamordowanego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki w Sarajewie.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

9

— Tak pani prezesowa uważa? — wycedziła słodko-cierpkim tonem matka piegowatej panienki. Ostrzej protestować nie śmiała wobec przewodniczącej czterech stowarzyszeń filantropijnych, opiekunki dwóch ochronek, organizatorki wszystkich urządzanych w powiatowem mieście Łykowie festynów, przedstawień amatorskich, żywych obrazów i „kwiatków" dobroczynnych. Od niej zależało, czy Micia będzie brała udział w tem lub owem przedstawieniu, czy wystąpi w żywych obrazach, czy wreszcie podczas „kwiatka" lub innej „zbiórki" nie zostanie pominiętą.

— Naturalnie, że tak uważam! O! Szykowna! Wcale szykowna!... I buziak bardzo!... bardzo!...

— Hm! Ja powiedziałabym, że trochę pospolita, jakby ordynarna...

— Ona, zdaje się, maluje usta — wtrąciła panna Micia, oblizując co chwila wargi.

— Gdzie zaś!... Widać nie przyjrzałyście się jej, moje panie. już ja wam mówię, że ładna!... i pikantna!... To jest coś, co się podoba mężczyznom. Takiej mi było właśnie potrzeba!

— Jakto, pani prezesowo?

— No, wiosna zaczyna się... Trzeba będzie za dwa, no najdalej już za trzy tygodnie urządzić pierwszy dzień „kwiatka"... A nasi panowie zepsuli się, zmateryalizowali — nie chcą nic dawać!... Trzeba na gwałt jakiejś nowej, ładnej buzi...

— Ależ pani prezesowa nie zamierza chyba...

— Właśnie, że zamierzam zaprosić tę młodą Żarnicką do współudziału... Moja pani, taka uroda, to gratka dla naszego komitetu!...

— Zważywszy jednak, że przeszłość tej pani...

— Jaka tam przeszłość!... Toż to jeszcze smarkata! Zresztą, jeżeli on się ożenił, to co to kogo obchodzi, co między nimi było...

— Ona sama może nie zechce... Przecież Żarnicki jest przy wojsku...

— No, to właśnie! Będzie zbierała na sieroty wojenne — zadecydowała prezesowa. — Muszę zaraz jutro rozpisać zaproszenia... Najbliższe posiedzenie w poniedziałek!... Kraków już miał trzy „kwiatki", Tarnów dwa, a my nic!... To wstyd!...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Okienko ekspedycyi pocztowej otwarło się ze stukiem. Józia podała list.

— Proszę, ten list polecony i proszę o trzy marki po dziesięć i o dwie po pięć halerzy.

Wysunęła się wąska, sucha, nerwowa ręka o długich, smukłych palcach.

Larchówna podniosła głowę, obciążoną bogactwem hebanowo-czarnych włosów i spojrzała na Józię swojemi wielkiemi, głębokiemi, niespokojnemi oczami.

Przy świetle dziennem i bez kapelusza, twarz urzędniczki wydawała się starszą, bardziej mizerną i zmęczoną. Dobitniej odznaczały się sine kręgi pod oczami i jakieś ciemne plamy na skroniach. Wyraźniej rysowały się podłużne brózdy koła nosa i ust, ładnie wykrojonych, ale przywiędłych i spieczonych, jakby ustawiczną gorączką.

Ale oczy — ogromne, czarne, piękne i mądre oczy — świeciły mocno niezwykłym blaskiem w tej twarzy przedwcześnie postarzałej, po której życie snać nie przesunęło się miękkiem, delikatnem dotknięciem, ale ją przeorało szorstką, brutalną łapą.

Larchówna wzięła list od Józi. Zanim jednak nalepiła nań etykietkę „polecony", wpatrzyła się w młodą mężatkę daleko dłużej i uważniej, niżby należało.

W wzroku jej nie było niechęci — było tylko wielkie zaciekawienie i z jakimś przyjaznym odcieniem.

Jednakże Józia pod tem wejrzeniem zarumieniła się, zmieszała. Zrobiło się jej niemiło i jakoś nieswojo, tak nieswojo, że najszybciej wręczyła pieniądze i zamierzała zaraz odejść.

— Ależ, proszę pani, niechże pani zechce poczekać, aż napiszę recepis i wydam resztę — odezwała się Larchówna.

W tonie tych słów, wypowiedzianych niskim, metalicznym głosem, zadźwięczało trochę ironii, ale raczej smutnej, niż złośliwej.

Wymowne oczy dopowiedziały: „Czegóż tak uciekasz? Niepotrzebnie mnie się boisz, bo ci nic złego zrobić nie chcę".

Józia zawstydziła się swego dziecinnego zachowania. I w tem zakłopotaniu zrobiła śliczną, potulną minkę grzecznej, spłoszonej dziewczynki. W ognistych źrenicach Larchówny zamigotał miękki, trochę rozrzewniony wyraz, z jakim zwykle ludzie dorośli patrzą na ładne, małe dzieci.

Urzędniczka wypisała recepis, odcięła marki, wydała kilka halerzy reszty i podsunęła to wszystko Józi, ciągle nie spuszczając z niej wzroku.

Otworzyła już nawet usta, jakby chciała coś do niej jeszcze powiedzieć, ale dała spokój. Tem więcej, że nie było czasu. Do okienka cisnęli się inni interesanci. Za jakąś służącą i damą w krótkiej spódnicy stała tam ubogo ubrana staruszka, w czarnej chustce na głowie. Trzymała w ręku dwa dwudziestokoronowe banknoty i trochę drobnej monety. Nie pchała się, nie przypominała o sobie, cicho czekała swojej kolei, choć widać było, że stanie wywołuje dotkliwy ból w opuchłych nogach.

Larchówna zwróciła się do niej odrazu.

— Pani posyła pieniądze do syna — do niewoli?

Twarz starowiny rozjaśniła się. Szybko podała swoje pieniądze.

— Tak, proszę pani. O! Adres jest tutaj, na tej karteczce. Pani mi napisze adres na przekazie, dobrze? Moja złota paniusiu! Bo ja niedowidzę już trochę i ręka mi się trzęsie...

Larchówna w milczeniu wzięła banknoty, wyjęła przekaz i zaczęła wypisywać adres.

— Co to znaczy? — zawołała obrażona dama w krótkiej spódnicy i wysokich bucikach — to ja mam czekać?! Ja wcześniej tutaj byłam, aniżeli ta kobieta!...

— I ja także, a jakże; nie mam „caszu" czekać — zawtórowała dyszkantem służąca — ja jezdem od pani doktorowej!...

Urzędniczka spojrzała na nie. Twardym, obojętnym wzrokiem uderzyła naprzód damę w niezwykle modnej spódnicy, a potem służącą pani doktorowej.

— Zaraz załatwię — powiedziała spokojnie — tylko wprzód zaadresuję przekaz tej pani.

Było coś takiego w jej twarzy i głosie, że obrażone kobiety zaprzestały protestów. Przyjrzały się zgarbionym plecom staruszki, jej chorym, spuchniętym nogom i umilkły.

Józia, która chowała właśnie portmonetkę do torebki, widziała tę małą, charakterystyczną scenkę. Podobało się jej postąpienie Larchówny i zaciekawił żywy ruch przy okienku pocztowem.

Ludzie przesuwali się, jak w kalejdoskopie. Co chwila rozbrzmiewał nowy głos:

— Polecony!

— Ekspress!

— Proszę pięć korespondentek!

— Telegram!

— Proszę markę za 10 halerzy.

— Proszę o przekaz!

— Ta paczka na „Feldpost", proszę pani!

Czarno ubrana, smutna, zapłakana kobieta prosi o blankiet telegraficzny i drżącą ręką kreśli: „Zosia zachorowała. Przyjeżdżaj natychmiast".

Panienka z grubymi, jasnymi warkoczami dopytuje się cichym głosem, czy niema listu na „poste-restante" pod „Niezapominajka".

Mężczyzna w zniszczonem ubraniu, ze spracowanemi, żylastemi rękami robotnika, nadaje pięćdziesiąt koron.

Snać ciężko mu było rozstać się z temi pieniędzmi, bo obejrzał kilkakrotnie, jakby z żalem banknot, zanim go wręczył urzędniczce.

Przyszedł żyd brudny, obdarty, na żebraka wyglądający, w zatłuszczonym, wyświechtanym chałacie i... nadał czekiem sześć tysięcy koron.

Wśród całego tego chaosu Larchówna doskonale dawała sobie radę. Ręce jej poruszały się zwinnie, wprawnie, pospiesznie. Z zadziwiającą szybkością zgarniała pieniądze, odrywała i przylepiała marki, wypisywała recepisy.

Jakiejś niezaradnej kobiecinie wiejskiej obszyła prędko i zręcznie pakunek płótnem, pomimo, że znowu z innej strony ozwały się sarkania.

Równomierny sposób wykonywania czynności nie zdradzał żadnego zmęczenia. Zakaszlała tylko kilka razy suchym, krztuszącym kaszlem, a smagła twarz stała się jeszcze ciemniejszą, przez co wyraźniej zaznaczyły się żółtawe smugi na policzkach.

— Ona musi być dobra — myślała Józia, wychodząc z budynku poczty. — I jakaś taka dziwna... Nie jest właściwie ładna, ale nie zwykła, oryginalna, zajmująca... I te oczy, jak czarne płomienie... Dlaczego ona tak przypatrzyła się na mnie?... Lola mówi, że to dobra znajoma Konrada... Może kochała go... i może on ją... W takim razie powinna mnie nienawidzić!... A jednak nie... ja się chyba nie mylę... W jej spojrzeniu nie było nienawiści...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Boże! Żebym się tylko nie spóźniła na obiad.

Józia wbiegła z pospiechem do sieni, zanim jednak zdążyła wstąpić na pierwszy stopień schodów, posłyszała za sobą głos kobiecy, wołający.

— Proszę pani!... Proszę pani!...

Zatrzymała się i odwróciła głowę. Zobaczyła młodą jeszcze i dość przystojną kobietę, o drobnej, intelligentnej twarzy. Kobieta ta wyszła widocznie przed chwilą z piwnicy, bo dźwigała wiadro, pełne węgla, za ciężkie stanowczo na jej siły. To też dyszała zmęczona, a na twarz wystąpiły rumieńce wysilenia.

— Czem mogę pani służyć? — zapytała Józia.

Kobieta postawiła wiadro na ziemi i odetchnęła głęboko.

— Czy mam przyjemność mówić z panią Konradową Żarnicką?

— Tak jest — odparła z przyjemnym uśmiechem zadowolenia młoda mężatka. Tytuł Konradowej Żarnickiej mile zabrzmiał w jej uszach.

— Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Ogrodzińska, tutejsza lokatorka. Mieszkam ot tu, na parterze... Przepraszam bardzo, że ośmieliłam się panią zaczepić, ale... mam do pani prośbę...

Rumieńce pani Ogrodzińskiej stały się jeszcze ognistsze.

— Pani ma prośbę?... Do mnie?... — zdziwiła się Józia.

— Tak... Trudno jednak w sieni... Gdyby pani zechciała wstąpić do mnie na chwileczkę...

— Możeby później... — Józia przypomniała sobie znowu o obiedzie.

— Ja pani dużo czasu nie zajmę... Tylko chwilkę... Proszę bardzo, niech pani nie odmawia... — nalegała tamta.

Weszły. Józia przelotne spojrzenie rzuciła na mosiężną tabliczkę na drzwiach i przeczytała: Mieczysław Ogrodziński, urzędnik magistratu.

— Pani pozwoli tutaj, do pokoju... Ja za sekundę... tylko te węgle...

Pokój, do którego gospodyni wprowadziła gościa, służący widocznie za jadalnię i jednocześnie za salonik, był urządzony skromnie, ale wygodnie i z pewnym wytwornym smakiem.

Na ścianach ładne i harmonijnie dobrane reprodukcye, w wazonach dużo, starannie pielęgnowanych roślin kwitnących i zielonych, w rogu duża szafa, pełna książek, meble gładkie, gustowne i tak jakoś porozstawiane, że tworzyły miłą dla wzroku i zaciszną całość.

— Dlaczego ta pani sama dźwiga węgle — zastanawiała się w duchu Józia — taka wątła i delikatna... i przecież żona urzędnika... Nie mogłaby to słudze kazać... Ale czego ona może chcieć odemnie...

Ogrodzińska ukazała się znowu. Zrzuciła poplamiony fartuch kuchenny i weszła ubrana w ciemny perkalowy szlafrok, na który opuściła ręce małe wprawdzie i kształtne, ale zgrubiałe, zniszczone, wykazujące aż nadto wyraźne ślady bliskiej styczności z balią, z garnkami i z piecem kuchennym.

— Jeszcze raz przepraszam panią bardzo, że zajmuję pani czas, ale pani ma w sobie coś takiego, co ośmiela... Ja chciałam już zwrócić się do panny Żarnickiej, ale ona taka jakaś nieprzystępna...

Urwała, bo w tej chwili dał się słyszeć głośny syk. To w kuchni jakiś płyn wylewał się na gorącą blachę.

Ogrodzińska chwyciła się za głowę.

— Boże wielki! — krzyknęła — Zupa mi wykipi!...

Kiedy po chwili wróciła z kuchni zadyszana, rozczerwieniona, Józia zauważyła naiwnie:

— Że też to sługa nie przypilnuje kuchni jak należy...

Ogrodzińska wzruszyła ramionami.

— A gdzieżbym ja teraz sługę utrzymać i wyżywić mogła? Nawet na posługaczkę mnie nie stać. Czy pani wie, co to znaczy gospodarować

przedwojenną pensyą mężowską, kiedy wszystko, nie wiedzieć ile razy podrożało... I to przy trojgu dzieciach... Ale ja panią nudzę, a o czem innem chciałam mówić... Choć i to trochę należy do rzeczy... Właśnie mamy nowe zmartwienie i dlatego pragnęłam panią... z panią...

Zająknęła się. Nie łatwo jej widocznie było wypowiedzieć to, co zamierzała. Zebrała jednak całą odwagę i po chwili zaczęła rezolutniej:

– Widzi pani, to jest tak... My w tym domu mieszkamy już pięć lat i zawsze płaciliśmy regularnie. I teraz, chociaż nam tak ciężko – Bóg widzi, jak ciężko – nie zalegamy z czynszem... A mimo to pani Żarnicka wypowiedziała nam mieszkanie... Od pierwszego mamy wyprowadzić się...

Józia zmieszała się.

– A! Tak... – bąknęła – świekra moja wypowiedziała państwu mieszkanie.

– I gdzie ja, proszę pani, tak odrazu znajdę nowe mieszkanie... Zwłaszcza, że ja na piętrze nie mogę... Mąż chory na serce, a ja słabuję trochę na nogi... i te węgle!... A zresztą przeprowadzka!... Czy pani ma pojęcie, ile obecnie kosztuje przeprowadzka?... Skąd my na to weźmiemy!...

W głosie zmęczonej, spracowanej kobiety brzmiała nuta głębokiego żalu i zniechęcenia.

Józia spoglądała na nią ze współczuciem, ale nie miała pojęcia, co ma właściwie powiedzieć i czego pani Ogrodzińska od niej żąda.

– Czy pani to już przedstawiła mojej świekrze? – zapytała wreszcie.

– Ależ przedstawiałam!... Tłumaczyłam!... Prosiłam!... I nic... Pani Żarnicka utrzymuje, że jej mieszkanie nasze potrzebne!...

– Cóż więc ja na to poradzę? – powiedziała smutnie Józia.

– Ja właśnie chciałam panią prosić o wstawienie się za nami... Gdyby pani wiedziała, co dla mnie znaczy teraz w tych warunkach: przeprowadzać się!...

– Proszę pani, ja nic nie mogę! – wybuchnęła z całą szczerością młoda mężatka.

Ogrodzińska wpatrzyła się w nią uważnie i pokręciła niedowierzająco głową...

– Chyba pani nie chce... A takie ma pani dobre, słodkie oczy, że myślałam...

– Nie! nie! Pani się myli!... Jabym chciała z duszy!... z serca!... Ale to nie pomoże nic...

– Przecież na prośbę synowej...

– Moja prośba nie będzie miała żadnego znaczenia.

– Gdyby pani jednak zechciała spróbować... – nalegała z uporem Ogrodzińska.

Józia była bliską płaczu. Na jej twarzy malowało się wahanie. Tak jej ciężko było odmawiać!

Ogrodzińska podchwyciła to zaraz.

– Pani jest dobra, ja to widzę... Niech mi pani nie odmawia... Jakże bylibyśmy wdzięczni, bo doprawdy niewiadomo teraz, co robić... Dzieci tyle potrzebują...

Józia była już zdecydowana. Nie mogła przecież pozwolić na to, żeby ta, starsza od niej kobieta, matka dzieciom – dłużej upokarzała się, dłużej prosiła nadaremnie.

Młoda pani Żarnicka wstała, wyciągnęła rękę do stroskanej lokatorki swojej świekry i powiedziała wzruszona:

– Zrobię, co będzie w mojej możności, ale za skutek ręczyć nie mogę...

– Dziękuję pani, serdecznie dziękuję i... przepraszam.

– Do widzenia.

W przedpokoju zetknęła się Józia z dziesięcioletnią dziewczynką, która już od drzwi wołała:

– Mamusiu, szewc nie chce wziąć mniej, jak dziesięć koron... Powiada, że taniej nie może!

– Rany Boskie!... Dziesięć koron za zelówki do dziecięcych bucików!... Czy ten człowiek ma sumienie!... To niepodobna tyle płacić!...

– Kiedy ja już mam takie dziury! O! niech mamusia popatrzy – odpowiedziała płaczliwym tonem dziewczynka.

Z ciężkiem sercem wracała Józia do domu. Nie wyobrażała sobie poprostu, jak ona ośmieli się zwrócić do świekry z taką prośbą...

Z góry przewidywała niepowodzenie. A jednak obiecała, więc musi. Jakże było nie przyrzec? Nie przyszło jej nawet do głowy, żeby tego przyrzeczenia nie dotrzymać.

Przecież jednak może... Jeżeli się jej uda wymownie odmalować położenie Ogrodzińskich... Czy się tylko uda...

Już miała zadzwonić, gdy nagle drzwi się otworzyły i ukazał się w nich ten sam wyelegantowany, pachnący jegomość z rudawymi wąsami, którego, wychodząc z domu, spotkała na schodach.

I teraz zdjął w szarmanckim ukłonie kapelusz i teraz zwinnym, elastycznym ruchem usunął się na bok, przepuszczając młodą kobietę.

– Ależ się wysiedział – pomyślała Józia. – To widocznie jakiś znajomy matki... Kto to taki?... Bo i ja go skądś znam, przynajmniej z widzenia...

Dzięki tej długiej wizycie podano obiad trochę później. Józia miała czas przebrać się i uniknęła cierpkich wymówek świekry.

Przy obiedzie pani Żarnicka była w doskonałym humorze. Ciemne jej oczy błyszczały jakiemś zadowoleniem, wesoło rozmawiała z córką, a nawet do synowej zwróciła się kilka razy łaskawszym, niż zazwyczaj, tonem.

– Ożywia się nasze senne miasto – mówiła z ożywieniem – przybywają nowi ludzie... Zaczyna się ruch...

– Ten pan, który był dzisiaj u mamy, to, zdaje się, także jeden z tych nowych ludzi – wtrąciła Lola.

– Tak. Przyjechał niedawno. Bardzo miły człowiek i, poznać, że energiczny i przedsiębiorczy... Świetnie wynajęłam mu to mieszkanie parterowe, za które mi Ogrodzińscy tak nędznie płacili...

Józia poruszyła się niespokojnie na krześle, ale pani Żarnicka nie zwróciła na to uwagi.

– Więc mamusia już z nim ostatecznie zawarła umowę?

– Tak jest. Bardzo jestem zadowolona. Kilku takich lokatorów, a inaczej będą wyglądały nasze interesy.

Synowa uznała, że teraz jest właśnie stosowny moment do wtrącenia słowa o Ogrodzińskich...

– Ale cóż zrobią ci państwo Ogrodzińscy? – podjęła nieśmiało. – Może nie mają jeszcze innego mieszkania i... ja słyszałam, że przeprowadzka teraz bardzo dużo kosztuje...

Teściowa spojrzała zdziwiona.

– A niechże sobie robią, co chcą. Cóż mnie do tego.

– Oni są bardzo biedni... – mówiła dalej Józia, a głos jej nabierał coraz gorętszych tonów. – Pani Ogrodzińska taka wątła, delikatna, a sama dźwiga węgle i wszystko robi w domu... Nawet na buciki dla dzieci nie mają, a przecież czynsz płacą regularnie...

Wargi pani Żarnickiej zadrgały i zacisnęły się. Spojrzenie zimne, przenikliwe wbiła w twarz synowej.

– Skądże ty o tem wszystkiem wiesz i dlaczego z tem tak nagle wyjeżdżasz?! Cóż to ma znaczyć?

– Rozmawiałam z panią Ogrodzińską... Opowiadała mi, jak im jest ciężko i że bardzo pragnęliby pozostać w mieszkaniu, gdyby...

– Tak?... A czy zdążyłaś się już także porozumieć z mojemi sługami i pobuntować je? A inni lokatorzy jakież mają wymagania?... Jesteś już o tem poinformowana? – zadrwiła pani Żarnicka. – Piękny, obiecujący początek!... Plotki i konszachty z lokatorami!... No co prawda, mogłam się spodziewać!...

Józia naprzemian bladła i czerwieniła się.

– Ja nie robię plotek!...

– Może być, że, przy twoich wyobrażeniach i twojem wychowaniu, tego rodzaju konszachty są rzeczą zwykłą, ale nie u mnie, nie w moim domu! Rozumiesz!... Wypraszam sobie raz na zawsze, ażebyś kiedykolwiek...

Lola pociągnęła matkę nieznacznie za suknię, bo właśnie Joasia wniosła półmisek z pieczystem.

Panna Żarnicka ze zdumieniem spoglądała na bratową, a w oczach jej można było wyraźnie wyczytać pytanie: Czyś ty oszalała?!

Obiad dobiegł końca w milczeniu, a dla Józi stał się nieznośną torturą. Czując na sobie przedziwnie pogardliwe spojrzenie świekry, z trudnością przełykała kęski pieczeni, a deserem o mało co się nie udławiła.

Nie czekając herbaty, którą podawano u pani Żarnickiej po obiedzie, wstała od stołu i wyszła do swojego pokoju.

– Bezczelna! – syknęła za nią teściowa. – No! ale poczuje ona na sobie moją rękę!

– – – – – – – – – – – – – – – – – –

Lola zaraz po obiedzie pospieszyła do bratowej.

Józia siedziała przy stole. Głowę wsparła na rękach i dłońmi przysłoniła sobie oczy.

– Józiu!...

Młoda kobieta podniosła głowę. Miała jakieś mętne spojrzenie i była bledziutka, jak listek białej róży.

– Ach! To ty, Lolu...

– Co ci to!... Słabo?! Taka jesteś blada!...

– Nie! Nic mi...

– Tak się pewnie przejęłaś tem, co mama powiedziała? Et! Wrażliwa jesteś, jak mimoza!... Chociaż tym razem jesteś sama sobie winna. Zmiłujże się, co tobie znowu strzeliło do głowy, żeby gadać o tej Ogrodzińskiej?...

– To jest czysta prawda, co powiedziałam...

– Przypuśćmy, ale, co ciebie obchodzi jakaś pani Ogrodzińska? – mówiła Lola, siadając wygodnie na kanapce.

– Prosiła mnie, żeby się wstawić za nią...

– O naiwna istoto! I tyś doprawdy myślała, że coś uzyskasz od mamy?!...

– Wielkiej nadziei nie miałam, ale myślałam, że może... może... A zresztą przyrzekłam...

– Strasznie jesteś egzaltowana! Radzę ci, wyzbądź się tego!... Przez taką egzaltacyę musisz popełniać dziesiątki głupstw...

– Tak... w całem życiu mojem robiłam zawsze głupstwa – przyznała otwarcie i bez żadnej urazy bratowa.

Lola mimowolnie uśmiechnęła się.

– Jak ty prosto, szczerze i... ładnie mówisz... Niemniej głupstwo pozostaje w użyciu głupstwem... Na przykład w tym wypadku... Także się wybrała!... Nigdy ja, ani Konrad, nie ośmielilibyśmy się wtrącać do czynności mamy, a ty nagle... No i cóż... Nie pomogłaś tej tam pani, a sobie zaszkodziłaś bardzo – o! bardzo...

Józia splotła na kolanach ręce i milczała zgnębiona.

– Twój pomysł wstawiennictwa był zresztą z samego założenia nierozsądny – ciągnęła dalej panna Żarnicka spokojnym tonem pewnej siebie wyższości – mama postąpiła zupełnie słusznie z tem mieszkaniem... Nasza kamienica nie jest instytucyą filantropijną i mieszkanie wynajmuje się temu, kto najlepiej zapłaci...

– Ale widzisz, teraz takie niezwykłe stosunki... Wojna...

– Każdy niech sobie radzi, jak chce i może... Nie powiadam zresztą, żeby zamykać zupełnie rękę dla biednych, ale tracić bez potrzeby... Chyba mi przyznasz po zastanowieniu, że mam racyę...

– Może i masz racyę, ale ja znam ludzi, którzyby w tym wypadku inaczej sądzili – odpowiedziała Józia, myśląc o Walczakach.

– To chyba tacy, co nic nie mają, albo bardzo bogaci, którzy mogą sobie pozwalać na fanaberye... – zadecydowała Lola.

Józia nic nie odpowiedziała. Nie posiadała żadnych wyrozumowanych zasad, nie prowadziła nigdy dysput na temat zagadnień społecznych i argumentować nie umiała, a kierowała się tylko instynktem dobrego, wrażliwego serca.

Coś ją wszakże raziło w poglądach, wypowiadanych przez Lolę – i przenikało ją mocne poczucie, że szwagierka nie tylko nie zastąpi jej nigdy Anielki, ale, że o prawdziwej przyjaźni między niemi mowy być nie może.

– Pomyśl sobie – podjęła Lola rozmowę po długiej chwili milczenia – nowy lokator zapłaci mamie trzy razy więcej...

– Któż to taki? – zapytała Józia więcej dla podtrzymania rozmowy, niż ciekawości...

– Nazywa się: czekaj... jakoś tak... Poto... Pota... Aha! już wiem: Potyrowski.

– Potyrowski?... – powtórzyła Józia, a dźwięk tego nazwiska wywołał jej nagle przed oczy postać eleganckiego jegomościa, spotkanego na schodach.

Tak! Przypomniała sobie już dokładnie, że w Pradze nazywano tego pana Potyra-Potyrowski i jakieś dziwne szeptano sobie o nim rzeczy...

Niewiele ona na to zwracała wówczas uwagi, ale coś się jej przecie obiło o uszy.

– To ten pan łysawy, taki strasznie elegancki i wyświeżony, z rudawym wąsem... Prawda?

– Tak. Chce tutaj otworzyć biuro handlowo-komisowe i właśnie mieszkanie Ogrodzińskich jest mu dogodne... Mama bardzo go chwali... Powiada, że ma maniery bez zarzutu... Podobno jest z bardzo dobrej rodziny...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Pochód na Rosyę.

Pochód na Rosyę, o którym piszemy na innem miejscu, rozpoczęty zwycięsko przez wojska mocarstw centralnych w Galicyi, wywołał wewnątrz Rosyi niesłychane zamieszanie. Rząd, któremu z trudem udało się sklecić ofenzywę, wobec klęski swojej armii i rewolucyi w Petersburgu, znalazł się w położeniu niesłychanie krytycznem. Świadczy o tem odezwa, którą rewolucyjny rząd rosyjski wydał „w godzinie największego dla Rosyi niebezpieczeństwa" do narodu. Odezwa brzmi:

„Obywatele! Godzina niebezpieczeństwa wybiła. Armie cesarza niemieckiego przerwały front narodowych rewolucyjnych armii rosyjskich. Ten okropny fakt ułatwiła im występna lekkomyślność i ślepy fanatyzm pewnych ludzi, oraz zdrada innych. Jak jedni, tak i drudzy zagrozili w ten sposób nowej wolnej Rosyi zamętem i rozpadnięciem się. W tym momencie niebezpieczeństwa, korzystając z nieładu powszechnego, mogą podnieść głowę ukryte siły kontrrewolucyi. Nowoutworzony rząd tymczasowy zdaje sobie jasno sprawę z odpowiedzialności, jaka go obarcza całym ciężarem, jednakże równocześnie rząd jest pełen niezłomnej wiary w potęgę wielkiego narodu rosyjskiego. Rząd pokłada ufność w szybką sanacyę politycznego życia kraju. Po tem, gdy zaraźliwa choroba, która toczyła organizm narodowy, pokazała się i następnie przeszła w fazę ostrego kryzysu, rząd tymczasowy mocno wierzy, że kryzys ten poprowadzi do zdrowia, a nie do śmierci. Silny tą wiarą rząd tymczasowy gotów jest do działania, przyczem będzie działał z całą energią i stanowczością, jakich domagają się wyjątkowe okoliczności chwili.



Pochód na Rosyę: Idylla we wsi rosyjskiej za frontem austro-niemieckim (Fot. Bufa).





Śnieżne tunele — **Wojna wśród śnieżnych szczytów i przepaści:** — Wybuchy włoskich pocisków.

Rząd swe najbliższe główne zadanie upatruje w zastosowaniu wszystkich sił do walki przeciw wrogowi zewnętrznemu, oraz ku obronie nowej formy rządu przeciwko wszelkiego rodzaju anarchii i kontrrewolucyi, nie cofając się przed najostrzejszymi środkami.

Równocześnie rząd tymczasowy przez swą politykę zewnętrzną ponownie stwierdzi, że armia rewolucyjna zdolna jest ruszyć do walki, mając tylko niezłomne przekonanie, iż ani jedna kropla krwi żołnierza rosyjskiego nie będzie przelana na cele obce poczuciu prawnemu demokracyi, którą prąd rewolucyjny rosyjski otwarcie ukazał w obliczu całego świata, jako wytknięty przezeń cel pokojowego rozwiązania. Ku temu to zmierzając, oraz urzeczywistniając zasady polityki zewnętrznej, wyłożonej w deklaracyi rządowej z dnia 19 maja, rząd tymczasowy ma zamiar zaprosić swych sprzymierzeńców na konferencyę koalicyjną w miesiącu sierpniu, aby ustalić powszechną oryentacyę polityki zewnętrznej koalicyi, oraz aby doprowadzić do uzgodnienia stanowiska poszczególnych państw koalicyi w sprawie zastosowania w życiu zasad, proklamowanych przez rewolucyę rosyjską. Na tej konferencyi Rosya reprezentowana będzie nie tylko przez swoich dyplomatów, lecz również przez przedstawicieli demokracyi rosyjskiej. W dalszem kontynuowaniu pracy nad odbudową państwa, jako też pracy w innych dziedzinach, według zasad, wyrażonych w oświadczeniu z d. 19 maja, rząd tymczasowy uważa za nieodzownie konieczne natychmiastowe zarządzenie szeregu środków, któreby te zasady w czyn wprowadzały.



Pochód na Rosyę: Leśne stanowiska pod Koniuchami, gdzie wstrzymano atak Rosyan.

Rząd tymczasowy zastosuje wszelkie ku temu środki, aby wybory do konstytuanty rzeczywiście odbyły się w poprzednio już oznaczonym dniu 30 września, oraz, aby wszelkie ku temu potrzebne zarządzenia przygotowawcze, konieczne dla zabezpieczenia wolności przy wyborach, były wypełnione".

Odezwa rządu tymczasowego rosyjskiego w dalszym ciągu rozwodzi się szeroko nad tem wszystkiem, co rząd zamierza przeprowadzić w dziedzinie reform politycznych i społeczno-polityczn. i wreszcie kończy się następującemi słowami:

„Rząd tymczasowy uważa się za uprawnionego, przy swej ciężkiej pracy i wysoce odpowiedzialnych zadaniach, budować na fundamencie energicznego poparcia ze wszystkich żywotnych sił kraju, przyczem żąda od wszystkich niesienia ofiary ze swego mienia, a nawet ze swego życia, dla wielkiego dzieła dobra ojczyzny, która, na szczęście, przestała już być dla zamieszkujących ją narodów okrutną macochą".

Stan, w jakim znalazła się teraz Rosya, a o którym tak wymownie świadczy powyższa odezwa, jest może najważniejszym momentem wydarzeń obecnych wojny światowej. Od obrotu, jaki przybiorą sprawy w Rosyi, zależą w znacznej mierze losy wojny, a z nią świata cywilizowanego. Uważamy też za stosowne przytoczyć ją, jako dokument historyczny, a znajdujący się w najściślejszym związku z chwilą obecną.



Wojna wśród śnieżnych szczytów i przepaści: Msza przed bitwą.



Pochód na Rosyę: Pałac rabina w Czortkowie.

Wojna wśród śnieżnych szczytów i przepaści.

Klęski Rosyan w Galicyi i zapoczątkowany przez nie pochód na Rosyę, odwróciły na razie uwagę świata od walk na innych frontach. Te jednak bynajmniej nie ustały i toczą się z niezmienioną zaciętością. Zwłaszcza na froncie włoskim walka znowu przybrała swój stały charakter okrutnej a romantycznej partyzantki, jaką posiada tam stale, wyjąwszy okresy włoskich masowych szturmów. Wśród śnieżnych szczytów i przepaści toczą się zapasy śmiertelne, pełne podstępów, niespodzianek, napadów, nagłych wybiegów — a wszystko w obliczu przyrody groźnej, z którą również potrzebna jest ciągła walka. Wśród zimna, na wyniosłych wierzchołkach, lub w głębokich, odciętych od świata wąwozach, gdzie tylko niebo i ściany skał są świadkami mąk i męstwa, staczane są te bitwy, małe rozmiarami, lecz wielkie zaciętością, w które obfituje wojna górska. Smierć i zgroza — oto jedyne żywioły, które tam panują.

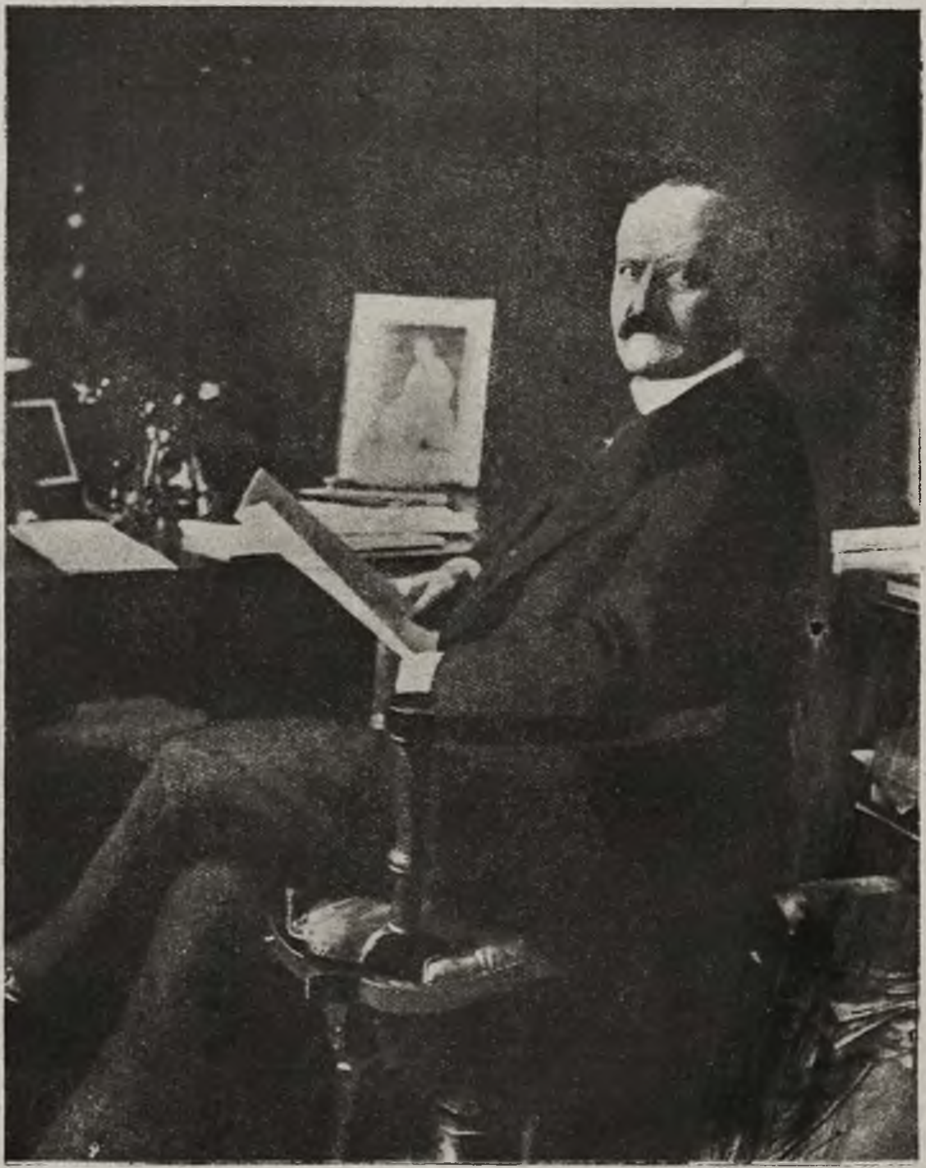
A w pomoc strasznym elementom natury idą w tych walkach wszystkie zdobycze nowoczesnej techniki wojennej, w tym kierunku już także wyspecjalizowanej. W śniegu zmarzłym, zbitym i twar-



Wojna w Azyi: Wielbłądzia kolumna transportowa. (Fot Bufa).



Pochód na Rosyę: Ratusz w Stanisławowie.



Nowy kanclerz Rzeszy niemieckiej: Dr. Michaelis.

dym, śniegu odwiecznym, kopie się długie tunele, którędy podchodzi się nieprzyjaciela, lub niepostrzeżenie dla niego dowozi się żywność i amunicyę. Miesiącami nieraz drąży się w litej skale podkop, aby wysadzić w powietrze cały szczyt góry, obsadzony przez nieprzyjaciela, lub — samemu zginąć wcześniej od jego kontr-podkopu. Ogromne, naturalne jaskinie, o nieprzebitych, grubych sklepieniach z granitu, służą za bezpieczne schronienia całym kompaniom, które jednak czasem całe też giną, jeżeli u wejścia jaskini padnie dobrze wycelowana nieprzyjacielska mina, nabita trującymi gazami. Na nartach, które dawniej służyły tylko do wesołego sportu, spuszczają się z gór, po ośnieżonych zboczach, oddziały, by spaść niespodzianie na wroga, obozującego w dolinie, lub też stoczyć walkę z oddziałem takich samych narciarzy nieprzyjacielskich, spotkanych po drodze. Czyny taternicze, których dawniej dokonywali tylko pojedynczy śmiali przewodnicy, teraz wykonują całe pułki, w dodatku wlokąc ze sobą nie tylko własne uzbrojenie, ale nieraz



Pochód na Rosyę: Płonąca wieś Koniuchy pod Zborowem.



Pochód na Rosyę: W rowie pułku piechoty przed szturmem. (Zdjęcie wojennej kwatery prasowej)

przygotowano dwa wieczory kabaretowe z jednoaktówką Fredry „Jestem zabójcą“. Po jednodniowym pobycie w Wiedniu „polski teatr“ ruszył na miejsce przeznaczenia na front południowy. Oto, jak jeden z jego członków, p. J. Kozłowski, opisuje swoje interesujące wrażenia z podróży i pobytu wśród walczącej armii:

„Dnia 14 lipca pierwszy nasz postój w .... Na stacyi kolejowej oczekują nas oficerowie Polacy i Niemcy. Komendant teatru naszego przedstawia nas kolejno. Kwaterę wskazują nam na dworcu. Tuż koło dworca pobudowano „Kaffeehaus“ dla oficerów, budyneczek z drzewa, ozdobiony wieżyczką, dalej biały, na placu, żwirem wysypanym, wznosi się „Soldatenheim“. Tam pokazują nam salę teatralną i garderoby. Scena maleńka, jak na froncie, świetnie urządzona, z wszelkiemi udoskonaleniami technicznemi, światło elektryczne, kulisy papierowe, budka suflera mikroskopijna, słowem, teatrzyk maryonetek.

Wieczorem, przy nabitej widowni, gramy „Grube ryby“. Nastrój wśród słuchaczy miły, niewymuszony — rozumieją, czy nie, z każdego gestu, z każdego dowcipu śmieją się rozgłośnie.

Atmosfera cichego, polskiego domu. Podchodzą do okien garderoby Polacy ze skupieniem, z uśmiechem szczerym i serdecznym, dziękują nam; podchodzą Niemcy, ze swojem „wunderbar, schön“ na ustach, dziwiąc się i zachwycając. W kawiarni przyjmuje nas gościnnie sam pułkownik... i oficerowie Węgrzy. Orkiestra wycina skocznego czardasza. Węgrzy chwytają niewiasty nasze do tańca, piją cześć Polski i Węgier. „Na zdar“ — „Eljen“ — „Niech żyje Polska“ — rozbrzmiewa wśród nocy letniej, choć lada chwila uderzyć może dzwon na trwogę przy ukazaniu się nieprzyjacielskiej flotyli aeroplanów. Mimo to zabawa trwa dalej, pokazują nam tylko t. zw. „kawerny“. gdzie, w razie rzucania bomb lotników, skryć się mamy.

Pełni wrażeń, udajemy się na przechadzkę. Ciemne tło dali nocnej rozjaśniają raz po raz błyski nagłe, migotliwe; ustawicznie po nich bijące armaty przekonywują nas, że tam w odległości... wre walka. Armaty walą bateryami, wachlarzowate światła rakiet rozbłyskują co chwilę.. Puszczono reflektor... to włoski — leci snop światła po niebie, armaty grają ciągle. Jakaś groza śmierci wieje tem polem, wszędzie poważnie i smutno.

Na drugi dzień zaczynam zwiedzać okolicę. Tuż nademną, na wzgórzu rozległem, szarzeje miasto. To NN, miasto umarłych. Domki i domy uroczo z dali rysują się swym kamienistym wyglądem, otoczone palisadą, na której pnie się winna latorość; wzdłuż murki kamienne, w górze kościół z wieżyczką — w kształcie naboju szrapnelowego. Miasto, zda się, spi... ewakuowane. Ledwie kilkanaście rodzin pozostało.

Wieczorem gramy „Męża z grzeczności“. Sztuka podoba się nadzwyczajnie, a radości i oklaskom niema końca, gdy na scenie pojawia się kapitan w mundurze polowym (p. Nowakowski) z forysiem (p. Biegański). Nazajutrz żegnamy gościnną okolicę, poczem jeszcze w „Etappenkomando“ odprowadzeni na dworzec, gdzie panie otrzymują kwiaty — i ruszamy dalej“.

amunicyę, artyleryę, nawet zwierzęta juczne i wozy. Tembardziej zaś ta wojna wśród śnieżnych szczytów i przepaści jest godna podziwu, gdy się zważy, że z jednej strony, włoskiej, biorą w niej udział dzieci słonecznego południa, które nigdy nie poczuły zimna, nie już mrozu, gdzieś z pod Neapolu, lub Sycylii, a z naszej strony — jacyś chłopi z puszty węgierskiej lub nadwiślańskiej niziny, którzy znowu nigdy nawet niewielkiego pagórka nie widzieli. I ci chłopi z pod Tarnowa czy Jarosławia, nie tylko chodzą na szczyty, jak urodzeni górale, ale jeszcze walczą z zaciętym, a podstępnym wrogiem, wśród skał i lasów, na ścieżkach, na których potknięcie się grozi śmiertelnym upadkiem. Wśród śnieżnych szczytów i przepaści, nad włoską granicą, wiele polskich kości bieleje.

Polski teatr na włoskim froncie.

Dnia 12 lipca wyruszył z Krakowa na front włoski pierwszy polski teatr polowy w armii austryackiej, zorganizowany przeważnie z artystów krakowskich, z p. W. Biegańskim na czele. Artystów tych zaangażowała wojenna kwatera prasowa. W skład zespołu weszli: panie Czaplińska, Pawłowska, Rozwadowska, Strycharska, Święcicka, panowie: Biegański, Brzeski, Konarski, Kozłowski, Mierzejewski, Nowakowski, Trzywdar. Na repertuar wybrano „Grube ryby“ Bałuckiego i „Męża z grzeczności“ Abrahamowicza i Ruszkowskiego, oraz „na zapas“



Pochód na Rosyę Atak na pozycye rosyjskie po ostrzeliwaniu ich bombami gazowemi (Zdjęcie kinematograficzne).



Wojna w Azyi: Turcy w pochodzie (Fot. Bufa)

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

8

— Nie wiem...

— Czy nie masz zaufania do mnie? — zapytał serdecznie pułkownik, patrząc badawczo na Gilbertę.

— Oh! Tak! Mam je, przysięgam! Pan był zawsze taki dobry dla mnie. Pokierowałeś życiem mojem, i uczyniłeś je szczęśliwem! Gdyby mi się nawet serce krwawić miało, nie uczynię nic takiego, coby wywołać mogło pana niezadowolenie.

Pułkownik uśmiechnął się z zadowoleniem.

— No, dzięki Bogu — rzekł serdecznie — widzę, że jesteś już rozsądniejszą i wynagrodzę cię za to natychmiast.

— Jakim sposobem? — zapytała Gilberta zdziwiona.

— Pozostaw mi tylko swobodę działania! Przecież wiesz dobrze, że pragnę tylko twojego szczęścia i jeżeli ten młody człowiek jest rzeczywiście godnym uczucia, jakie w tobie wzbudził... jeżeli omyliłem się co do jego osoby, w co trudno przyjdzie mi uwierzyć — przyrzekam ci, moje dziecko, że nie będę się upierał przy swoich przewidywaniach i pozwolę ci iść za wyborem serca. Przecież ty tego tylko pragniesz, Gilberto?

Młoda dziewczyna słuchała ze wzruszeniem rozsądnych słów pułkownika, a kiedy umilkł, pochwyciła impulsywnym ruchem obie jego dłonie i do ust przycisnęła.

Pułkownik uśmiechnął się z dobrocią i przeciągnął pieszczotliwie ręką po jej włosach.

— Jesteś bardzo dobrem dzieckiem, Gilberto — wyrzekł łagodnie — i kocham cię tak, jak jeszcze nie kochałem nikogo na świecie. Bądź zawsze taką uległą i serdeczną, a kiedy poznasz mnie lepiej, przekonasz się, że nikt tak, jak ja, nie jest ci głęboko oddany i skory do poświęcenia dla twojego dobra.

Po tych słowach pożegnał ją serdecznie i wyszedł powoli z ogrodu, poza którym oczekiwał go powóz.

Gilberta zaś po odejściu opiekuna nie poruszyła się z miejsca. Coś nieoczekiwanego i tajemniczego zaszło nagle w jej duszy. Głęboko poruszona tą sceną, z oczami, wlepionemi w ziemię, starała się zrozumieć i odeprzeć wrażenie, jakiemu uległa.

Cóż to być mogło?

Nigdy jeszcze w głosie i wzroku pułkownika nie dojrzała podobnego wzruszenia i serdeczności.

Usta jego drżały nerwowo, kiedy dotykały jej czoła, a uścisk jego ręki gorączkowy był i silny.

Co to mogło znaczyć? Jakiż powód ukrywał się pod tem niezwykłem wzruszeniem?

Gilberta powróciła zamyślona i niespokojna do zakładu pani Bourgeois i przepędziła noc całą bezsennie, nie mogąc zwalczyć przykrych myśli, które bezustannie dręczyły jej umysł.

Ale nie tylko dla niej noc ta była pełna zamołań i udręki.

Jerzy również nie zmrużył oka i przepędził długie godziny na przykrem rozmyślaniu.

Młody człowiek, jak każdy zakochany, powodowany był instynktem ostrzegawczym, który rzadko się myli. I w tym wypadku Jerzego nie omyliły przeczucia. Zobaczył pułkownika Robert, zamienił z nim kilka słów i odczuł, że szczęście jego życia jest silnie zagrożone. Człowiek ten od pierwszej chwili wzbudził w nim odrazę, której wytłumaczyć sobie nie mógł i zaczął się go bezwiednie lękać.

Kiedy więc wieczorem powrócił do swojego małego pokoiku i przebiegł w myśli to pierwsze ich wzajemne poznanie, rozpacz go objęła i wybuchnął płaczem jak małe dziecko. Uczuł się nagle tak samotnym w życiu! Aż do dzisiejszego dnia wszystkie myśli jego wypełnione były obrazem Gilberty, kochał ją całą siłą pierwszego, naiwnego uczucia i byłby jej z ochotą oddał całe życie swoje, w zamian za uśmiech, lub serdeczne słowo.

Od pewnego czasu wiedział, że miłość jego znalazła oddźwięk w duszy młodej dziewczyny i widział już w niedalekiej przyszłości szczęście ich obopólne, opromienione radością i zadowoleniem. Do myśli tej przywiązał wszystkie swoje nadzieje i ambicye, w niej czerpał potrzebną siłę do zwalczania przeszkód i przykrości.

A teraz miałby na zawsze wyrzec się tej słodkiej nadziei i pozostać sam i opuszczony?!

Nie miał żadnej rodziny. Matka jego już nie żyła, ojca zaś swojego nie znał wcale, pozostała mu tylko życzliwość starego archiwisty, Cypryana Leduc!

Noc ta była dla Jerzego bardzo ciężka do przebycia.

Kiedy nadszedł ranek i pierwsze promienie słońca wpadły do jego pokoju, wyskoczył z łóżka, ubrał się, starając opanować przykre niepokoje, odbierające mu odwagę do dalszego życia. Była już godzina ósma i Jerzy pospieszył bez zwłoki do codziennej swojej pracy biurowej.

Kiedy przybył na ulicę Abbaye, zastał już Cypryana Leduc, siedzącego przed biurkiem.

Przyjął go z życzliwym uśmiechem i wyciągnął rękę do uścisku.

— Jesteś, mój przyjacielu — rzekł wesoło — No, jakże przepędziłeś dzień wczorajszy?

— Dosyć dobrze! — odparł niechętnie młody człowiek, nie mogąc opanować lekkiego zmieszania.

— Byłeś gdzieś na przechadzce?

— Tak, panie Leduc.

— W Saint-Mandé? — zapytał stary archiwista, patrząc badawczo na niego.

— Rzeczywiście... byłem w Saint-Mandé.

— Doskonale. Dla ludzi pracujących w biurze, podobne wycieczki są koniecznie potrzebne ze względu na zdrowie. Tylko znajduję, mój kochany, że nie szukasz urozmaicenia w swoich przechadzkach.

— Ależ, panie Leduc.

— Eh! Co znowu, nie potrzebujesz się zapierać... Myślisz, że taki stary, zasuszony archiwista nie widzi nic więcej ponad swoje księgi i akta. Zdaje ci się może, że się nie interesuję tobą i nie znam twoich myśli?

— Co pan chce przez to powiedzieć, panie Leduc? — zapytał niespokojnie Jerzy.

— No! No! Nie denerwuj się tak, mój kochany. Siądź tu lepiej przy mnie i porozmawiajmy, jak dwu przyjaciół, szczerze i otwarcie, bez fałszu, bo tego nie lubię.

Mówiąc to, archiwista pociągnął za rękę Jerzego i wskazał mu miejsce obok siebie.

Zaległa chwila milczenia, nie bardzo przyjemna dla młodego człowieka.

Cypryan Leduc z uśmiechem dobrodusznym i trochę ironicznym patrzał uparcie na niego, pokrząkując lekko.

— Mój kochany — odezwał się wkońcu — stary Cypryan Leduc oszukać się tak łatwo nie da, powinieneś o tem wiedzieć. Zręczniejszy jest i domyślniejszy, jak ci się zdaje. Wiem, że od kilku miesięcy niezmiennie obierasz na swoje niedzielne przechadzki drogę, prowadzącą do Saint-Mandé i domyśliłem się, że nie robisz tego bez określonego powodu.

— Panie Leduc!

— Otóż, mój kochany — ciągnął dalej archiwista — jakąż można mieć tajemnicę w twoim wieku, jeżeli nie miłosną. Rozumiem to, bo i sam byłem młody i wiem, że takie rzeczy spadają na człowieka same i nieprzewidziane. Nie potrzebujesz się tak mieszać, moje dziecko, jest to naturalne prawo twojej młodości. Przyznaj jednak, że dobrze odgadłem i zobaczysz, jaką ci ulgę przyniesie zwierzenie się człowiekowi, który cię kocha i który będzie szczęśliwy, jeżeli będzie w możności przyczynienia się do twojego szczęścia.

— Ah! Jaki pan dobry, panie Leduc! — zawołał ze wzruszeniem Jerzy — Słowa pana sprawiają mi prawdziwą ulgę.

— A więc odgadłem, prawda?

— Tak.

— Jesteś zakochany?

— Gdyby ją pan znał, gdyby pan mógł ją widzieć, panie Leduc! Cała istota moja do niej należy.

I w gorących słowach Jerzy opisał powstanie swojego przywiązania, nadzieje swoje, radości, nie ukrywając nic z przebiegu ostatniej swojej rozmowy z Gilbertą, a wkońcu zwierzył staremu archiwiście niespodziewaną interwencyę opiekuna młodej dziewczyny. Z początku Cypryan Leduc słuchał opowiadania z pobłażliwym uśmiechem wyrozumiałości, ale po ostatnich słowach Jerzego zmarszczka pionowa przecięła jego czoło i na twarzy jego wystąpił wyraz zaniepokojenia.

— Wszystko to dobrze, mój kochany — wyrzekł poważnie — to dziecko, o którem mówisz, wydaje mi się zupełnie godnem twojego przywiązania, ale muszę ci powiedzieć, że byliście oboje bardzo nieostrożni i weszliście bezwiednie na drogę trochę niebezpieczną, nie pamiętając o tem, że możecie być rozdzieleni przez wolę jej rodziny, która ma prawo zapytać cię, kim jesteś i jakie jest twoje nazwisko.

— Pan się myli, panie Leduc! — zawołał żywo Jerzy — Gilberta tak samo, jak i ja, nie posiada żadnej rodziny. Mówiła mi to wczoraj. Jakiś biedny robotnik ją wychował i dopiero od kilku lat została umieszczoną w pensyonacie pani Bourgeois.

— A to szczególna rzecz! — odparł z zainteresowaniem Cypryan Leduc — Bo przecież ten biedny robotnik nie może łożyć na koszta jej wychowania. W tem coś być musi.

— Tak, to nie on opłaca pensyonat Gilberty.

— Któż więc?

— Zaraz panu to wyjaśnię. W tym czasie Gilberta mieszkała na ulicy Pixecourt w Belleville.

— Ah! — szepnął Leduc, zadrżawszy mimowoli.

— Była tam bardzo nieszczęśliwą i zapewnie umarłaby dotąd z nędzy, gdyby dłużej pozostała była w rękach tego człowieka, który był ostatnim nędznikiem.

— Czy nie nazywał się Szymon?

— Tak. Szymon, stolarz.

Błysk nagły zajaśniał w oczach starego archiwisty.

— Pan go zna? — zapytał ze zdziwieniem młody człowiek, patrząc uważnie na niego.

— Ja? Może... Ale zanim ci to opowiem, powiedz mi, moje dziecko, czy ta młoda dziewczyna, Gilberta, nie miała siostry, starszej od siebie?

— Tak jest, miała. Gilberta wspominała mi o tem... i siostra ta znikła.

— Mów dalej.

— Więc pan wie...

— Nie jeszcze, nie przerywaj sobie. Mówiłeś, że Gilberta mieszkała na ulicy Pixecourt pod numerem 68.

— Nie znałem tego numeru! — odparł Jerzy, ogarnięty coraz żywszem zdumieniem.

— To nic!... Mów dalej. Cóż się stało potem?

— Rzecz nieprawdopodobna, a jednakże rzeczywista. Pewnego dnia mężczyzna jakiś zgłosił się do Szymona po dziecko, zabrał je i odtąd Gilberta znajduje się u pani Bourgeois, którą od lat kilku nie opuszczała wcale.

— Kto był ten człowiek?

— Nie wiem.

— Widziałeś go?

— Widziałem dzisiaj po raz pierwszy.

— W jakim jest wieku?

— Może mieć czterdzieści, lub pięćdziesiąt lat... odgadnąć trudno, bo cera jego twarzy dziwnie jest ciemna i opalona.

Cypryan Leduc gwałtownie uchwycił rękę młodego człowieka.

— Ale nazwisko jego, Jerzy, jego nazwisko! — nalegał gorączkowo — Musiano ci przecież powiedzieć, jak ten człowiek się nazywa?...

— Jest to jedyna rzecz, o której Gilberta mówić ze mną nie chciała.

Cypryan Leduc usiadł przed biurkiem i zamyślił się głęboko. Wyraz twarzy miał niespokojny i podniecony.

— To wszystko, czego się dowiedziałem — rzekł po chwili — jest bardzo ciekawe! Napróżno jednak szukam w tej niezwykłej sytuacyi rozsądnego wyjścia. Cóż ty zamierzasz uczynić dalej, Jerzy?

— Ależ ja mam tylko jeden, jedyny zamiar. Udam się do tego człowieka i błagać go będę, aby nie niszczył szczęścia Gilberty i mojego.

— Wiesz, gdzie mieszka?

— Nie, ale dowiem się od Gilberty.

Czoło starego archiwisty zbiegło się w silne, poprzeczne zmarszczki.

— Łudzisz się. — rzekł niechętnie — Gilberta nie powie ci już nic więcej.

— Co pan mówi?

— Prawdę.

— To niemożliwe... Gilberta?

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa, ten człowiek uczyni wszystko możliwe, aby więcej nie dopuścić do twojego widzenia się z nią.

— Dlaczego?

— Więc ty nic nie odgadujesz, nic nie przeczuwasz? Nie widzisz, że on również kocha tę

dziewczynę, że chce ją zachować dla siebie i wzbroni ci przystępu do niej na przyszłość!

— Oh! Gdybym był tego pewny! — zawołał Jerzy z wybuchem gniewu i energii.

— Cóżbyś uczynił?

— Nie! nie! Pan się myli, panie Leduc! Ten człowiek nie ośmieliłby się przecież.

— Chcesz się przekonać?

— W jaki sposób?

— Chcesz zbadać sam, że nie powiedziałem ci nic fałszywego!

— Oh! Panie Leduc! Jakże to urzeczywistnić? — zawołał Jerzy, składając błagalnie ręce.

— A więc chodź ze mną!

— Gdzie mnie pan chce zaprowadzić?

— Do Saint Mandé, do pani Bourgeois. Z ust jej usłyszysz wkrótce potwierdzenie mojego przypuszczenia.

Po chwili Jerzy i stary archiwista wsiadali do dorożki i kazali się wieźć do Saint Mandé. Jerzy, rozgorączkowany i niespokojny, tak przynaglał dorożkarza, że po upływie pół godziny znaleźli się przed pensyonatem pani Bourgeois. Pierwszy zeskoczył z powozu i zapytał o właścicielkę zakładu.

Wprowadzono ich do salonu, gdzie wkrótce pani Bourgeois wyszła na ich spotkanie.

— Proszę pani — wyrzekł stary archiwista, przystępując zaraz do rzeczy — jest w zakładzie pani młoda dziewczyna, z którą mówić pragnę.

— Ależ, panie! — zaprotestowała dyrektorka, zdziwiona tem żądaniem.

— Niech pani będzie spokojna, nie wymagam nic nadzwyczajnego, zresztą ta rozmowa odbędzie się w obecności pani.

— Któraż jest ta panienka?

— Panna Gilberta.

— Nie wiem czy byłabym w możności zadośćuczynić życzeniu pana — odparła żywo pani Bourgeois — bo reguła naszego zakładu nie pozwala na rozmowy z naszemi wychowankami, o ile osoby żądające jej nie należą do najbliższej rodziny, ale w tym wypadku zajście, które tu miało miejsce wczoraj, ułatwia mi odmowę.

— Jakie zajście? — zapytał Cypryan Leduc.

— Panna Gilberta nie jest już u mnie.

— Wyjechała? — zawołał Jerzy zdumiony.

— Tak jest, wyjechała dziś rano!

— I gdzie się udała?

— Tego nie wiem.

— Ale przecież ktoś musiał ją odebrać z zakładu pani? — zapytał stary archiwista.

— Odebrała ją osoba, która powierzyła Gilbertę mojej opiece i jedynie miała ją prawo odebrać.

— Nie nalegam więcej — odparł Cypryan Leduc, kłaniając się — i dziękuję pani za te informacye. Chodź, Jerzy. — dodał, zwracając się do młodego człowieka, który osłupiały stał na środku salonu — Nie mamy tu nic więcej do czynienia.

I ukłoniwszy się raz jeszcze zdziwionej dyrektorce zakładu, Leduc pociągnął Jerzego za rękę i wyszedł.

Jerzy był tak przybity odebraną wiadomością, że opadł bezsilnie na poduszki powozu, wstrząsany nerwowym dreszczem.

— Odwagi! Odwagi, mój kochany! — uspakajał go Leduc — Cóż u dyabła! Jeszcze niema nic strasznego!

— Nie zobaczę jej już więcej! — wyszeptał z trudem Jerzy.

— Co znowu! Zobaczysz ją! Tylko nie upadaj tak na duchu. Musisz się zahartować do walki, bo przeczuwam, że czekają nas poważne przeszkody do przełamania.

Kiedy po godzinie powrócili do domu, Jerzy, pomimo swojego zmartwienia, czuł się już silniejszym.

W bramie spotkali dozorcę domu, który wręczył panu Leduc dwa listy. Jeden z nich adresowany był do Jerzego.

— Od kogo ten list być może? — mruknął stary archiwista, rozrywając kopertę.

Po przeczytaniu pierwszych wierszy wyraz zdumienia pokrył jego twarz.

Było to zaproszenie pochodzące od pułkownika Robert, na pierwszy wieczór, wydany przez niego w nadchodzącą sobotę.

— Co to ma znaczyć? — wyrzekł Cypryan Leduc — A któż to do ciebie pisze, Jerzy?

— Niech się pan sam przekona — odpowiedział młody człowiek, podając mu swój list.

Było to również zaproszenie, zredagowane w tych samych słowach.

— Hm! hm! — krząknął znacząco stary archiwista. — Ta rzecz wymaga koniecznie wyjaśnienia.

— Czy pan zna tego pułkownika Robert?

— Widziałem go raz tylko.

— I uda się pan na ten wieczór?

— To jest inna rzecz, mój kochany. Trzeba być uprzejmym dla każdego i nie zaniedbywać żadnej sposobności poznania nowych ludzi. Zresztą mamy jeszcze kilka dni do namysłu.

Rozmawiając w ten sposób, weszli do mieszkania, gdzie Leduc zajął się zaraz przygotowaniem do śniadania.

— Jestem dyabelnie głodny! — oznajmił wesoło — Ten przymusowy spacer zaostrzył mi apetyt.

Ale w chwili, kiedy mieli zasiąść do stołu, zadźwięczał dzwonek w przedpokoju.

— Oho! Klient jakiś — zawołał Cypryan Leduc — Mógł się wybrać w lepszą porę.

Kobieta, posługująca im, poszła otworzyć i Leduc słyszał, jak rozmawiała z nowoprzybyłym i wprowadzała go do gabinetu.

— Kto to jest? — zapytał, kiedy posługaczka powróciła do jadalni.

— Jakiś pan, którego nie znam — odpowiedziała.

— Czego żąda?

— Chce z panem mówić.

— Ano trudno, iść do niego muszę, interesa przedewszystkiem.

Powstał mrucząc i udał się do drugiego pokoju.

Ale zaledwie drzwi otworzył, stanął zdumiony na progu.

W gabinecie oczekiwał na niego Buvard, ajent, z którym zapoznał się w czasie swojej bytności w Saint-Nicolas.

XI.

Kiedy pierwsze wrażenie zdziwienia minęło, Cypryan Leduc podszedł żywo do ajenta.

— Nie mylę się — rzekł. — To pan Buvard, nieprawdaż?

— Tak jest — odparł ajent z uśmiechem. — Nie spodziewał się pan moich odwiedzin.

— Zapewnie.

— Kilka miesięcy temu zaszła pomiędzy nami rozmowa bardzo interesująca, przypomina ją pan sobie zapewne.

— Oczywiście.

— Miała ona za temat okropne morderstwa, popełnione przez nieodkrytego dotąd mordercę. Podjął się pan wówczas wyjaśnić policyi motywa tych zbrodni, jak również odkryć nazwisko zbrodniarza. Pan nie zapomniał o tem, panie Leduc?

— Bynajmniej.

— A więc. Zwłoka, wydana panu przez policyę, upływa już i przychodzę dowiedzieć się.

— Jest pan punktualny... nadzwyczajnie punktualny, panie Buvard. Tylko...

— Czy pan nie jest jeszcze w możności udzielenia nam tych informacyi?

Stary archiwista uśmiechnął się lekko.

— To zależy — odparł po chwili. — Zaobserwowałem wiele od tego czasu; podróżowałem, badałem i jeżeli nie osiągnąłem jeszcze zupełnie zamierzonego celu, to mam przynajmniej głęboką nadzieję, opartą na bardzo silnych podstawach.

— Doprawdy, niechże mi pan to opowie.

Cypryan Leduc objął ajenta badawczem spojrzeniem.

— Dobrze — odrzekł — ale niech pan nie sądzi, że wypowiem tak zaraz wszystko, co wiem. Są pewne rzeczy, które panu wyjaśnię, ale są inne, których nie mam wcale zamiaru zwierzyć panu.

— Muszę przyjąć warunki pana — odparł Buvard — przyszedłem przecież po to, aby się czegoś dowiedzieć.

— A więc przedewszystkiem oznajmiam panu, że doszedłem do przekonania, że sprawcą tych dwóch, tak identycznie do siebie podobnych morderstw, jest jeden i ten sam człowiek. Powodowany zaś był tylko jedynym celem — usunięcia wszystkich, należących do rodziny Bonnet d'Esclairs, pochodzących z Saint-Nicolas. Główny przedstawiciel tej rodziny pojechał niegdyś do Indyi, gdzie zebrał podobno kolosalny majątek. Czy wiedział pan o tem?

— Wiedziałem.

— Sprawca tych zbrodni znał tę okoliczność i starał się zapobiedz, aby nikt z rodziny Bonnet nie mógł odziedziczyć tego majątku, zachowując go widocznie dla siebie w razie, gdyby tamten Bonnet z Indyi zmarł.

— Widzę, że pan nie tracił czasu napróżno — przyznał Buvard — bo i my z naszej strony odkryliśmy zupełnie to samo.

— I cóżeście panowie uczynili? — zapytał z zainteresowaniem stary archiwista.

— Nic jeszcze dotąd, bo uznaliśmy za stosowne przed rozpoczęciem ostatecznych poszukiwań upewnić się, że ten Bonnet z Indyi umarł rzeczywiście i że sukcesya po nim jest do podjęcia. Będzie to zapewne chwila decydująca i bardzo ciekawa, kiedy niespodziewanie sukcesor zjawi się po odbiór majątku.

— Czy sądzi pan, że to będzie morderca?

— Niekoniecznie. Jeżeli jest ostrożny, to podstawi jakąś pewną osobę, najprawdopodobniej wspólnika.

Cypryan Leduc przytaknął ruchem głowy.

— Ma pan słuszność — odrzekł. — Podziwiać muszę zręczność i przenikliwość, z jaką pan poprowadził tę sprawę. Czy jednak jest to wszystko, co pan wie w tym kierunku?

Ajent zawahał się.

— A pan wie coś więcej jeszcze? — zapytał ze swojej strony, patrząc ciekawie na starego archiwistę.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — odparł tenże zimno. — W ten sposób nie dojdziemy nigdy do porozumienia. No, panie Buvard, zapytuję pana raz jeszcze: Czy wie pan coś więcej?

— Nie! — odpowiedział ajent.

— A więc dodam coś jeszcze do informacyi, zebranych przez pana — uśmiechnął się Leduc.

— Cóż takiego?

— Szczegół jeden! Czy macie wiadomość jaką o tym Bonnet, milionerze?

— Oczekujemy jej z dnia na dzień z ministeryum i mamy nadzieję, że zostaniemy objaśnieni w tym kierunku.

— Więc ta wiadomość, a właściwie depesza, nie nadeszła jeszcze.

— Jeszcze nie.

— Dlaczego?

— No, panie Leduc, byłby pan bardzo zręcznym, gdyby mi to pan mógł wytłumaczyć.

— Nie jestem tak zręcznym, jak się panu zdaje, ale mogę jednak poinformować pana, że oczekiwana odpowiedź była na czas wysłana z Bombay, czy Kalkuty, że przybyła do Marsylii i że worek, zawierający depeszę, został naruszony, a akt, świadczący o śmierci Bonneta z Indyi, ukradziony.

Buvard nie mógł stłumić okrzyku zdumienia.

— Depesza! Akt skradziony w Marsylii! — wymówił z trudem. — Ale któż pana o tem powiadomił?

— Znajdowałem się wówczas w Marsylii — odparł spokojnie stary archiwista.

— Pan!

— Tak! I widziałem wszystko!

— Ale winny? Kto on jest? Zna go pan może? Ah! Gdyby to był...

— Nie znam go jeszcze — odparł Cypryan Leduc, potrząsając głową — ale to się stanie wkrótce, zaręczam panu. W każdym razie, zdaje mi się, że nadchodzi obecnie stanowcza chwila, i musimy wytężyć całą swoją uwagę i przebiegłość, aby żaden fakt najdrobniejszy nie uszedł nam teraz. Nieprawdaż, panie Buvard — dodał stary archiwista, zwracając się twarzą do ajenta — że podziela pan również moje zdanie?

Ale Buvard nie zwracał już uwagi na jego słowa. Dostrzegł był list z zaproszeniem, który Leduc otrzymał przed chwilą i nie odwracał od niego spojrzenia.

— Co panu jest, panie Buvard? — zapytał stary archiwista, zaintrygowany jego zachowaniem.

— Więc pan zna pułkownika Roberta? — szepnął ajent ze zdumieniem.

— Zna się tyle ludzi!

— Ależ on jest w Paryżu dopiero od kilku dni!

— Przybyliśmy tutaj razem.

— Pociągiem z Marsylii?

— Tak jest, pociągiem z Marsylii.

— I on zaprasza pana na wieczory, które wydaje u siebie? — zapytał z wzrastającem zdumieniem ajent.

— Jak pan widzi.

Buvard pochylił się nisko ku archiwiście. jak gdyby w obawie, aby kto nie dosłyszał jego słów.

— Pójdzie pan do niego? — wyrzekł zniżonym głosem.

— Prawdopodobnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Deklaracya pokojowa Austryi.

W odpowiedzi na mowę angielskiego premiera, lorda Roberta Cecila, i w dopełnieniu niejako mowy nowego kanclerza Niemiec, dra Michaelisa, ogłosił „Fremdenblatt“, półurzędowy organ ministerstwa spraw zagranicznych w Wiedniu, następującą deklaracyę, zawierającą warunki pokojowe Austro-Węgier:

„Monarchia przy rokowaniach pokojowych będzie stała obok Niemiec tak samo ramię w ramię, jak i w walce. Nasz sojusz z państwem niemieckiem, wspólnie przelaną krwią, wspólnie poniesionemi ofiarami, wspólnie przeżytemi radościami i cierpieniami jest tak silnie spojony, że niema ludzkiej siły, któraby go mogła rozluźnić. Nasze oświadczenie, a właśnie w ostatnim czasie rezolucya pokojowa parlamentu niemieckiego, zgodna z naszemi enuncyacyami, wykazały, że oba państwa gotowe są zawrzeć zaszczytny pokój, któryby zbliżył do siebie narody i kres położył namiętnościom nienawiści. Jeżeliby się okazała możliwość, że cel ten możnaby przez to osiągnąć, iż angielscy politycy upatrywaliby drogę ku niemu przez Wiedeń, to sądzimy, że poglądowi takiemu nie należy przeciwstawić ostrego: nie.

Jeżeli Cecil oświadczył, że w kwestyi Alzacyi i Lotaryngii Francya ma wypowiedzieć swe życzenia, a Anglia ma je poprzeć, to na to możemy odpowiedzieć, że w kwestyi tej Niemcy bezwarunkowo i bez żadnych zastrzeżeń znajdą nas po swej stronie. Zwrot Alzacyi i Lotaryngii do Francyi można wymusić tylko na zupełnie pobitych Niemcach, a nasza monarchia do ostatniego tchu walczyć będzie u boku swego wiernego sprzymierzeńca. Jesteśmy chętnie gotowi w najszerszych granicach uczynić, co do nas należy, aby na świat sprowadzić błogosławieństwa pokoju, ale chcemy też walczyć do ostatecznych granic, aby ta wojna monarchii i jej sprzymierzeńcom przyniosła zaszczytne zakończenie.

Co się tyczy losu Serbii, niedawno, ustalając nasze ogólne zasady pokojowe, wyjaśniliśmy nasze stanowisko także w kwestyi ukształtowania się Serbii po zawarciu pokoju. Jednego jednak nie można tu dość energicznie i z naciskiem podkreślić: Jakikolwiek los przypadł Serbii, Serbia nie może być ogniskiem agitacyi przeciw monarchii i nie śmie być stałem niebezpieczeństwem dla europejskiego pokoju. Austro-Węgry muszą wszystko poświęcić, aby uniemożliwić powrót takich stosunków“.

Co się tyczy t. zw. kwestyi południowo słowiańskiej, „Fremdenblatt“ wskazuje, że nasi południowi Słowianie nie mieli żadnej przeszkody w swym swobodnym kulturalnym rozwoju, gdyż u nas panuje zasada, że każdy naród może się swobodnie rozwijać w właściwy sobie sposób. Ale t. zw. kwestya południowo słowiańska dotyczy wyłącznie nas i ni gdy nie zgodzimy się na przyznanie jej charakteru międzynarodowego, gdyż jesteśmy silnie zdecydowani być i pozostać panami we własnym domu. Dla Austro-Węgier reklamujemy własne prawo stanowienia o sobie.

„Fremdenblatt“ kończy: „Szczerze i bez podstępów dążymy do zaszczytnego pokoju, ale pokoju, któryby, nie powalając przeciwnika, ukazał nas na jednym froncie z naszymi sprzymierzeńcami, pokoju, któryby nas chronił przed nowymi zbrodniczymi zamachami, pokoju, któryby nas pozostawił panami we własnym domu“.

Francuska ocena niemieckiej deklaracyi pokojowej.

Znana, a przytoczona przez nas poprzednio deklaracya pokojowa, przyjęta przez większość parlamentu niemieckiego na historycznem posiedzeniu z pierwszym występem nowego kanclerza Rzeszy, wywołała oczywiście żywe echo w prasie francuskiej. Prasa ta jednak naogół przyjęła rezolucyę pokojową parlamentu niemieckiego z niedowierzaniem, a nawet upatruje w niej jakiś manewr podstępny. „Matin“ pisze: „Niemieckie cele wojenne są niemożliwe do przyjęcia. Jeśli bowiem Niemcy wyjdą bez uszczerbku i przeprowadzą swą politykę odnośnie do Europy środkowej, to wtenczas, rezygnując z aneksyi i odszkodowania, jednakowoż zyskałyby na sile“. — „Petit Journal“ zaznacza: „I cóż nam powiedziało owych 214 posłów, którzy głosowali za rezolucyą pokojową i których mniejszość parlamentarna dlatego zwalczała zawzięcie? Powtarzają oni, że pragną pokoju bez aneksyi i pojednania narodów, lecz zanim to nastąpi, wojna jednolicie ma się toczyć nadal. A zatem ten sam program, co w roku 1914. Francya jednak zna obietnice Niemiec i nie pozwoli się omamić“. — „Libre Parole“ pisze: „Rezolucya ta przemawia za pogodzeniem się narodów raz na zawsze i za utworzeniem sądów międzynarodowych. Jest to manewr bardzo podstępny, lecz ujęty tak ponętnie, któremu ludzie bezmyślni łatwo gotowi uledz. Czyż jest możliwe porozumienie się z tymi bandytami, którzy napadli nas bezbronnych, zmasakrowali setki tysięcy Francuzów, zniszczyli 10 naszych departamentów, a teraz nie myślą o od szkodowaniu, ani nawet o uniewinnieniu się?“ — Jeszcze dalej posuwa się „Nouvelliste de Lyon“, nazywając rezolucyę parlamentu niemieckiego wstrętną obłudą. Niemcy żądają utworzenia międzynarodowych sądów rozjemczych, niezawodnie na wzór haskiego, którego postanowienia, aczkolwiek same je podpisały, podeptały nogami. My jesteśmy obecnie mię dzynarodowym sądem rozjemczym, my i nasi sprzymierzeńcy jesteśmy zarazem ofiarą i mścicielami.

Niemcy i Austrya.

Nowy kanclerz Rzeszy niemieckiej, dr. Michaelis, wyraził się o wzajemnym stosunku Niemiec i Austro-Węgier, jak następuje:

„Niemcy i Austro-Węgry są tak ściśle połączone na dolę i niedolę, że z zimną krwią nawet pomyśleć nie mógłbym o tem, iż kiedyś jeden członek tego związku mógłby odpaść.

W Niemczech panuje silne przekonanie, że Niemcy i Austro-Węgry są skazane na siebie i, że od tego związku zależy ich teraźniejszość, przyszłość i ich życie. Jestem przekonany, że takie mniemanie również panuje w Austro-Węgrzech. Ścisła współność tych dwóch sojuszników jest dla mnie po prostu aksyomatem i, ażeby to wyraźnie zaznaczyć, postanowiłem, aczkolwiek trudno mi oderwać się od pracy, już w przyszłą niedzielę udać się do Wiednia. Jednym z pierwszych czynów mego urzędowania ma być danie wyrazu temu przekonaniu o sojuszu pomiędzy Niemcami a Austro-Węgrami wobec cesarza Karola i austryackich oraz węgierskich mężów stanu. Wierne przymierze aż do wspólnego pokoju oto zasada, jaką stawiam dla polityki obu państw sprzymierzonych. Samo się oczywiście przez się rozumie, dodał kanclerz, że wspólny pokój nie oznacza ostatecznego terminu, lecz, po osiągnięciu tego celu, łączność i wspólna praca będą miały walor tem większy“.

Straty Galicyi podczas wojny.

Niedawno ukazała się bardzo ciekawa publikacya Wydziału kraj., przedstawiająca cyfrowo zniszczenie, jakie wskutek wojny dokonane zostało w gospodarstwie krajowem. Statystyka, gruntownie opracowana przez dr. Marcina Nadobnika, wykazuje na podstawie spisu, dokonanego w r. 1916, ogromny ubytek, jaki rolnicy galicyjscy ponieśli w koniach, bydle rogatem i nierogaciźnie. Cyfry idą w miliony, a wartość wskutek wojny straconego inwentarza w miliardy. Za podstawę porównawczą przyjęty został spis inwentarza, dokonany w roku 1910. Ze względu na doniosłość powyższej publikacyi, podajemy z niej kilka wyjątków.

Tablica ogólnych strat na obszarze Galicyi, który w styczniu r. 1916, w chwili spisu, wolny był od nieprzyjaciela, a więc z wyłączeniem części powiatu zaleszczyckiego i siedmiu powiatów wschodnich: Tarnopol, Trembowla, Czortków, Borszczów, Husiatyn, Skałat i Zbaraż, daje nam następujący obraz ubytku: koni ubyło 314 186, bydła rogatego 728.057 świń 1,028.373. W porównaniu z r. 1910 procentowo straty te wynosiły: koni 40 6 proc., bydła 31·3 proc., świń 63 2 proc. Obszary dworskie poniosły przy tem znacznie większe procentowo straty, niż gospodarstwa wiejskie. Ubyło im bowiem koni 65 6 proc., bydła 79 2 proc., zaś świń 79·9 proc.

Rozkład zniszczenia na poszczególne powiaty i gminy dostosowany jest ściśle do przebiegu operacyi wojennych. Powiaty, bardziej na wschód położone, ucierpiały znacznie więcej, jak również powiaty północno-wschodnie Galicyi środkowej. W koniach w środkowej Galicyi największe straty poniósł powiat niski (48 proc.) oraz powiaty z nim sąsiadujące. W Galicyi wschodniej najwięcej ucierpiały powiaty, buczacki (68 proc. strat), podhajecki (66 proc.) oraz zaleszczycki (64 proc.). W bydle rogatem wykazują w środkowej Galicyi największe straty powiaty: Nisko (52 proc.), Tarnobrzeg (38 proc.), Tarnów (34 proc.), Gorlice (41 proc.) i Jasło (34 proc.). Na wschód od Sanu 13 powiatów ma straty ponad 50 proc., natomiast w Galicyi środkowej już 9 powiatów wykazuje ubytek ponad 50 proc., zaś w Galicyi wschodniej niektóre powiaty straciły prawie wszystko i tak Turka (90 proc.), Podhajce (90 proc.), Przemyśl (88 proc.), Stary Sambor (83 5 proc) i t. d.

Z powyższego przeglądu wynika, że największe szkody poniosły te okolice, gdzie toczyły się długie i ciężkie boje, a więc powiaty, leżące na linii Dunajca, Sanu, Wereszycy, Bugu, Złotej Lipy i Strypy oraz powiaty karpackie. Specyalna karta należy się Przemyślowi i jego okolicy, gdzie w pasie ziemi, obejmującym gminy i obszary dworskie, nie dalej jak 10 km. od Przemyśla położone, ubytek stanowił przeciętnie 70 proc., a odnośnie do świń nawet 93 proc.

Na jedno jeszcze zwrócić trzeba uwagę. Straty poniesione stają się tem dotkliwsze, że ofiarą padły niektóre gałęzie gospodarstwa, które mają doniosłe znaczenie dla przyszłego jego rozwoju. I tak zniszczony w znacznej mierze został chów ogierów rozpłodowych i klaczy odstawionych i ze źrebiętami ssącemi. Oba te rodzaje koni cofnęły się najwięcej ilościowo. W 11 powiatach, najbardziej zniszczonych wojną, ubyło w tych kategoryach klaczy 71 proc., zaś ogierów 62 proc.

Również zupełnie zniszczoną została w Galicyi hodowla wołów, z których eksportu niegdyś kraj nasz słynął. W r. 1910 było ich jeszcze 113.000, obecnie zaś pozostało ich zaledwie 24.600. Wojna dobiła zupełnie ten dział hodowli.

Na zakończenie podaje publikacya porównanie strat w Galicyi i w Prusach Wschodnich. Ogółem ubyło w Galicyi koni trzy razy, bydła cztery razy, zaś trzody chlewnej dwa i pół razy tyle co w Prusach.

Wprost katastrofalnie przedstawia się sytuacya dla obszarów dworskich. Podczas, gdy przed wojną na obszar dworski przypadało przeciętnie koni 30, bydła 69 a trzody 23 sztuk, obecnie pozostało przeciętnie koni 10, bydła 14, zaś nierogacizny niespełna 5 sztuk. Potrzeba więc będzie bardzo znacznych środków i długiego czasu, aby przywrócić stan przedwojenny.

Jeśli teraz te ogromne cyfry przeliczymy na wartość pieniężną, to otrzymamy wprost miliardy. Trzeba zaś wziąć jeszcze i to pod uwagę, że wschodnia część Galicyi ciągle jest widownią walk, a tem samem straty coraz bardziej się zwiększają.

Spotkanie cesarzy w Podgórzu.

Z doby obecnej wojny napewne wiele z miejscowości galicyjskich, przedtem szerszemu światu zgoła nieznanych, przejdzie do historyi. W ich rzędzie niewątpliwie znajdzie się i skromne Podgórze, obecnie już tylko XXIII dzielnica Krakowa, gdzie w dniu 25 lipca nastąpiło znamienne spotkanie się cesarzy Niemiec i Austro-Węgier w kilka dni po rozpoczęciu się pochodu na Rosyę.

W podróży z frontu, względnie na front wschodni, obaj monarchowie zatrzymali się na dworcu w Krakowie, a prócz tego spotkali się na dworcu w Podgórzu-Płaszowie.

O godz. 9½ wieczorem przybył tu niemiecki pociąg dworski, z którego wysiadł cesarz Wilhelm w towarzystwie przydzielonego do jego osoby generała Klepsch Rodera. Powitany został przez komendanta twierdzy, generała Gusecka. Cesarz Wilhelm, który wyglądał bardzo dobrze, rozmawiał z komendantem twierdzy i szefem jego sztabu głó wnie o wypadkach na froncie galicyjskim.

O godz. 9 m. 49 odjechał pociąg dworski i przybył o godz. 10 do Podgórza, dokąd cesarz Karol przyjechał już o godz. 9 m. 52 i czekał na swojego sprzymierzeńca. Powitanie obu monarchów było nadzwyczajnie serdeczne. Ściskali się i całowali kilkakrotnie i rozmawiali żywo przez 15 minut.

Spotkanie się obu monarchów nastąpiło w czasie, gdy sprzymierzone armie zwycięskie w niepowstrzymanym pochodzie zwycięskim wypierały armię rosyjską i mają odzyskać ostatni kawałek ziemi, zajętej przez nieprzyjaciela.

Kronika tygodniowa.

W poprzedniej kronice zacząłem poruszać kwestyę kanikuły, ale, jak dziś widzę, niepotrzebnie, gdyż raczej powinno się było zająć jesienią, która szybkim krokiem już się do nas zbliża. Świadczą o tem owe liście kasztanowe, które opadają już, ledwie się miały czas rozwinąć, co jednak, wedle zdania wtajemniczonych, ma podobno wpłynąć bardzo dodatnio na produkcyę naszych, tak zwanych wyrobów tytoniowych. To nie jest zresztą żadną tajemnicą, gdyż w swoim czasie ogłosił zarząd monopolu, iż, z braku liści tytoniowych, będzie się używało innych, byle tylko zadość uczynić palaczom, nie mogącym się obejść bez owego knotka, który musi się im kopcić pod nosem.

A zdaje mi się, liście kasztanów to surogat bardzo niewinny, a do tego zdrowy i bardzo tani. Czytałem niedawno w jednem z pism humorystycznych, iż jakaś panienka w przystępie rozdrażnienia nerwowego popełniła samobójstwo, wbijając sobie w samo serce patyk, wyjęty z paczki tytoniu, nazywanego dotąd „trzynastką“, a dziś „dziewięćdziesiątką“. Autor artykułu twierdził, że ją uratowano, patyk szczęśliwie wyjęto, pacyentka zaś wyjątkowo nie umarła, ale odeszła do domu, wspierając się na nim, niczem na lasce. Byłem najpewniejszy, iż to przesada, tymczasem losy tak zrządziły, że na własnej swej skórze miałem się sposobność o tem przekonać. Nad wszystko najbardziej zaś smakują mi cygara, któremi mnie ktoś poczęstuje, sam ich bowiem nie kupuję, nie mając czasu pół dnia stać w ogonku tytoniowym przed trafiką, by się potem dowiedzieć z różowych usteczek panny Zosi lub Rózi, że „wszystko już wysprzedane!...“

Onegdaj jednak poczęstował mnie cygarem, tak zwanem „portorikiem“, jeden z mych przyjaciół politycznych. Ugryzłem koniec, wydmuchałem, zapaliłem i ciągnę, ale, choć mi oczy na wierzch wyszły, nie mogę złapać powietrza. Zaczynam więc badanie i cóż się okazuje?... Z wnętrza wystaje coś twardego, za co naturalnie ciągnę i wyciągam coś, z czem w porównaniu ów patyk, którym chciała popełnić samobójstwo owa panienka, jest jeszcze niczem!... Był to po prostu drąg, mogący, w braku czegoś lepszego, stać się surogatem telegraficznego słupa!

Cygaro naturalnie zepsuło się najzupełniej, byłem jednak w tem miłem położeniu, iż miałem sposobność przekonania się, że i humoryści mówią i piszą czasem prawdę. Nie tracę przecież nadziei, że, po szczęśliwym zbiorze liści kasztanowych, jakość tytoniu i cygar z pewnością się poprawi.

Niema więc złego, aby na dobre nie wyszło! Zresztą „kasztanina“ nie może chyba dla zdrowia ludzkiego mieć tak fatalnych następstw jak nikotyna, o czem szeroko i długo pisały różne powagi lekarskie, naturalnie z wyjątkiem tych, które same są zawodowymi palaczami. Bo wiadomo, że żaden lekarz nie zakazuje swemu pacyentowi tego, co jemu samemu smakuje. Choć są i tacy, ale czynią to tylko z obawy, aby im oni nie robili niepotrzebnej konkurencyi.

Z kolei rzeczy, zanim zacznę o czem innem, muszę najpierw odpowiedzieć na dwa listy z ubiegłego tygodnia, nadesłane pod adresem kronikarza. W jednym z nich stawia pewien z Prenumeratorów wniosek, by, zamiast rubryki „Z tygodnia“, umieszczać jakąś powieść lub humoreskę, gdyż to, co się tam drukuje, czytało się już w pismach codziennych. Szanownemu Korespondentowi odpowiem tyle, iż na wyraźne żądanie wielu Czytelników zaprowadziliśmy tę rubrykę, chcąc, by „Nowości Illustrowane“ były rzeczywiście prawdziwem odbiciem chwili obecnej, zwłaszcza, o ile to dotyczy spraw, ogół polski obchodzących, i po latach stanowiły pamiątkę tych czasów, jakie obecnie przeżywamy. Trudno jednak wszystkich zadowolić. Jednym się to podoba, drugim nie, na ogół przecież rubryka ta jest bardzo aktualną, daje bowiem Czytelnikowi jasny pogląd na to, co zaszło w ubiegłym tygodniu, a co nas dotyczy. W illustracyjnej części naszego pisma tego zaś pomieścić nie możemy. Niech więc Szanowny Prenumerator raczy to przyjąć do wiadomości i nie gniewa się na nas, gdyż my staramy się tylko o zadośćuczynienie wszystkim uzasadnionym żądaniom naszych P. T. Czytelników.

O drugim liście (były to właściwie aż trzy kartki polowe) nie powinienbym może pisać, gdyż autor prosi o tajemnicę, jeżeli zaś poruszam tę kwestyę, to tylko dlatego, aby się pochwalić, że się przecież znalazła dusza szlachetna, która zaprosiła kronikarza na wakacye... do rowów strzeleckich na wschodnim froncie. I, kto wie, czy nie wybrałbym się, reagując na zaproszenie, gdyby nie to, iż nie podano mi dokładnego adresu, dokąd mam się udać, ale kazano kierować się kompasem, potem wynaleźć wysoką górę i tam pytać się po węgiersku o dwu jednoroczniych ochotników, którzy czekają na mnie i chcą mnie przyjąć z staropolską gościnnością. Nadto muszę się przyznać, że po węgiersku nie umiem, po górach spinać się nie potrafię, a do rowów strzeleckich widocznie się nie nadaję, skoro ostatnio, przy „musterunku“ litera T, powiedziano mi i nawet dano na piśmie, iż, na razie przynajmniej, zupełnie się tam bez mej osoby obejdą. Pocóż więc wywoływać wilka z lasu i pchać zdrową głowę pod ewangelię, jak powiada mędrzec Pański?

Zostaję więc w Krakowie, a ponieważ, jak wyżej się rzekło, jesień mamy już za pasem, zaczynam się przygotowywać do jesiennej kampanii, która do polityki i do politykowania na szeroką skalę będzie może odpowiedniejszą, niż lato. Choć, prawdę powiedziawszy, to politykowanie, czy w lecie, czy w jesieni, to rzecz bardzo niewdzięczna. Daleko lepiej wychodzą ci, którzy do polityki zupełnie się nie zabierają, a wszelkie swe siły poświęcają różnym interesom, n. p. dostawom, na czem się teraz najlepiej wychodzi. Znam jednego pana, który na dostawie dziurek do guzików dorobił się już kolosalnego majątku i prosi Pana Boga, by wojna nigdy się nie skończyła, gdyż inaczej zamknięto by pole dla jego owocnej obywatelskiej działalności. Ale, zdaje mi się, jest w błędzie, jeżeli bowiem wojna dłużej potrwa (powiadają, że jeszcze trzy lata!...) łatwo stać się może, że bez dziurek do guzików będziemy się musieli obchodzić, nie mając co zapinać...

Nie zajmując się przecież interesami handlowymi i nie dostawiając nawet dziurek do guzików, zabrać się muszę z konieczności do polityki, do której najaktualniejszy obecnie temat, poruszony już przemnie w poprzedniej kronice, stanowi obecnie tak zwana ofenzywa rosyjska, która, wbrew życzeniom koalicyi, zamieniła się w ogólny odwrót Moskali na całym froncie. Obrót zupełnie niespodziewany, mogący, a nawet muszący mieć bardzo doniosłe skutki dla obu stron wojujących.

Ofenzywy owej spodziewano się wprawdzie, ale nikt nawet nie przypuszczał, że ona taki będzie miała wynik i to do tego tak rychło. Na ogół mówiono, że Brusiłow całą siłą będzie się starał opanować Borysław i okolice, aby mocarstwa centralne pozbawić nafty i benzyny. To był główny cel tej imprezy, która skończyła się przecież ogólnem fiaskiem. I Borysławia nie dostano, nie zaspokojono pragnień „naftowych“, co zaś ważniejsze, a czego się nie spodziewano, doczekano się też nadprogramowego przełamania frontu rosyjskiego pod Zborowem i Złoczowem. Obecnie na całym galicyjskim terenie, okupowanym dotąd przez Moskali, rozpoczął się nie planowy odwrót, ale paniczna ucieczka, przyczem okazała się najzupełniejsza dezorganizacya, panująca w armii rosyjskiej. Miast walczyć i zwyciężać, chcą żołnierze rosyjscy radzić i wiecować, a sprzymierzeni siedzą nielitościwie na karku i tłuką, co się zmieści.

Dla rządu tymczasowego, który ponadto musi walczyć z wrogiem wewnętrznym, to jest kontrrewolucyą, podnoszącą ciągle głowę, perspektywa niezbyt miła. To też Rosya ogląda się za pomocą i wyciąga rękę, prosząc przyjaciół o wsparcie; w sierpniu ma się odbyć w tym celu konferencya przedstawicieli koalicyi, aby omówić wytyczne przyszłego wspólnego, a planowego działania. Będzie ona tem się różnić od poprzednich, że, prócz dyplomatów, wezmą w niej udział także i przedstawiciele demokracyi. Na razie wezwano Włochy, aby one rozpoczęły na gwałt ofenzywę, by w ten sposób odciążyć front wschodni i dać Rosyi sposobność do ratowania swych niedobitków; czy się to jednak zda na co, wątpić wypada, gdyż, zdaje się, i Moskalom już ta wojna wyłazi bokiem i byliby radzi, gdyby można było raz ją zakończyć. Wobec tych niepowodzeń nie należy się też dziwić, iż ambasador angielski w Petersburgu, pan Buchanan, który przedtem kłaniał się carowi i całował jego nahaj, a potem umizgał się do rewolucyonistów i był z nimi za pan brat, ma podobno pójść w ślady pana Poincarégo (o ile to jest prawda, że ustępuje...) i podać się do dymisyi. Szczęśliwa mu droga! Nazwisko jego zapisze w każdym razie historya bardzo krwawemi głoskami na swych kartach, a ludzkość nie nazwie go z pewnością dobrodziejem, ale zupełnie przeciwnie.

Jeżeli obecna akcya wojenna na wschodzie pójdzie dalej w tem samem tempie, co dotąd, na przyszły tydzień możemy się spodziewać uwolnienia Czerniowiec i zupełnego przepędzenia moskiewskiej dziczy wraz z jej francusko-angielskimi przyjaciółmi za słupy graniczne. Powinno się to stać już przed czwartkiem, nim niniejszy numer „Nowości illustrowanych“ znajdzie się w rękach P. T. Czytelników.

Co będzie później, tego na razie przewidzieć nie można, w każdym razie spodziewać się należy, że „dalszy ciąg nastąpi“.

Z obecnego stanu rzeczy jedni z naszych polityków są zadowoleni, widząc w tem zapowiedź rychłego końca wojny, inni natomiast potrząsają głowami i powiadają, że właśnie dzięki tej ofenzywie wojna potrwa jeszcze przynajmniej ze trzy lata, każdy więc powinien być na tę ewentualność przygotowanym. Co się mnie tyczy, to nie podzielam zdania ani pierwszych, ani drugich, choć wolałbym, by się spełniło to, co mówią pierwsi, chciałbym bowiem już raz odetchnąć czystem, pokojowem powietrzem i przestać myśleć o aprowizacyach, rekwizycyach, musterunkach i tym podobnych przyjemnościach wojny.

Onegdaj zgłosił się do mnie pewien emeryt z prośbą o informacyę, czy to jest prawdą, że rząd zamierza rekwirować cylindry. Pocieszyłem go, że była wprawdzie mowa o cylindrach, ale nie tych, które się nosi na głowie, ale owych, miedzianych, służących do ogrzewania wody w łazienkach. Odetchnął z ulgą i odszedł, jakby mu kto kamień zdjął ze serca.

Tak, jak ów jegomość, który, zupełnie jednak niepotrzebnie, przeraził się, iż może być zmuszonym do złożenia swego ulubionego nakrycia głowy na ołtarzu ojczyzny, zaczynam się obawiać, iż, gdyby wojna miała się rzeczywiście jeszcze przeciągnąć, bylibyśmy narażeni na różne nieprzyjemności, w szczególności zaś na głodówkę przymusową, dającą się nam coraz bardziej we znaki. Po inne lata używało się o tym czasie na kwaśnem mleczku z ziemniakami, na kurczętach ze sałatą i innych tym podobnych delicyach, o których w trzecim roku wojny mieliśmy już czas zapomnieć, ceny ich bowiem są tego rodzaju, iż na zakupienie na przykład kilograma nowych ziemniaków, albo wiązki młodej marchwi, może sobie pozwolić chyba jakiś dostawca, szczęśliwy przedsiębiorca lub nieobdłużony kamienicznik. Do tej zwyżki cen przyczyniają się głównie niesumienni spekulanci, zakupujący wszystko na lewo i prawo i wywożący to pocichu z kraju, bo dla nich nie istnieją żadne przepisy ani rozporządzenia. Byłby też najwyższy czas, by zabrały się do nich energicznie władze i postąpiły sobie z nimi tak, jak na to zasługują. Jestem przekonany, iż ogół przyjąłby wieść o tem z należytą radością i pełnem uznaniem. Na żądanie mogę wskazać kilku takich osobników, mających stale kieszenie wypchane różnemi próbkami towarów spożywczych, które ofiarują na sprzedaż po cenach iście bajońskich.

Na razie przybywa nam tylko zapas nowych kartek. Świeżo wydano je na pobór spirytusu denaturowanego, który od tego czasu zniknął zupełnie z widowni i czeka widocznie gdzieś w głębi piwnic spekulantów na lepsze czasy. Odnośne rozporządzenie krzywdzi głównie kawalerów, którzy kartek spirytusowych nie otrzymają, nie będą też mogli odtąd grzać sobie na maszynkach kawy lub herbaty. Czy jest to słusznem, nie wiem, zdaje mi się przecież, iż nie! Aby otrzymać prawo poboru spirytusu denaturowanego, trzeba się na gwałt żenić i postarać o małe dzieci, bo tylko takie rodziny przy jego rozdziale mogą być brane w rachubę. Być może, że przyczyni się to do zwiększenia ruchu małżeńskiego, ale tylko na razie, sklejone bowiem w ten sposób małżeństwa „spirytusowe“ rozlecą się z pewnością po wojnie.

W dalszym ciągu obiecują nam karty na mydło, potem na mięso, jaja i t. d., niedługo dojdzie więc do tego, iż każdy obywatel będzie musiał nosić ze sobą osobną tekę na ich pomieszczenie. Proponowano w tym celu specyalne kamizelki z całą seryą odpowiednich kieszonek, ale wynalazek ten okazał się zupełnie niepraktycznym, choćby tylko z tego powodu, iż o sprawieniu sobie dziś jakiejś części garderoby nikt nawet marzyć nie może. Choć znów niektóre panie nie robią sobie nic z ogólnej biedy i, jak nigdy dotąd, tak szeleszczą jedwabiami... Ale takich szczęśliwych wybranek losu nie jest wiele, ogromna większość jest w strachu, by nie powróciły dawne czasy, gdy to prababka nasza, Ewa, zadowalała się w raju jeno liściem z łopucha.

Co do dni bezmięsnych, to podobno mają być w ich ugrupowaniu wprowadzone też pewne zmiany. Dwa dni będą przeznaczone na zupełne wstrzymanie się od mięsożerstwa, w dwa zaś następne wolno będzie spożywać nerki, flaki, wątrobę, mózg, płuca, kiełbasy, drób i dziczyznę, jeden zaś pozostanie nadal stale beztłuszczowym. W Lublinie zaprowadzono już dwa dni „bezmączne“ (poniedziałek i czwartek), a dwa „bezziemniaczane“ (środa i piątek), u nas o czemś podobnem jeszcze nie słychać.

Nie jest więc dobrze, ale może być łatwo jeszcze gorzej i tego się właśnie obawiam i dlatego wolałbym, aby się wojna rychło skończyła.

Niepokoi mnie także pan Wilson, zbyt bowiem siedzi spokojnie i jakoś nie „puszcza pary“, co kazałoby wnosić, iż zapewne coś knuje... Przedtem myślał o pokoju, teraz myśli znów o wojnie, zmieniwszy „platformę“, nie można więc z góry przewidzieć, czego możemy się spodziewać z tamtej strony. Nie ulega wszelki, iż ów „emerytowany apostoł pokoju,“ raczej przygotowuje jakiś śmiertelny cios dla środkowej Europy.

Ale czy mu się to uda?

Zagadki do nagrody.

Logogryf.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko i imię polskiego skrzypka, poziomy w górnym kwadracie nazwisko samo, w dolnym zaś imię.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dopływ Renu. 3. Konstelacya 4 Polska gra 5. Szukany wyraz 6. Fale morskie 7. Drukowane ogłoszenie 8. Przeciwnik Lutra. 9. Spółgłoska. 10. Spółgłoska 11. Litera grecka 12. Meksykańska roślina. 13. Miasto w Bułgaryi. 14 Szukany wyraz. 15. Przyrząd do grania 16. Szabla turecka 17. Dawna miara długości. 18. Spółgłoska.

Okienko.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a b b c
c c e
e e e
e e e e g g k
l l n
r r r
r s s t t y y

Znaczenie wyrazów: 1. Wyspa w południowej Azyi. 2 Założenie 3. Mały kramik.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Owce! Płonież c. k chałupa gołej osobie?

Łamigłówka.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

Ko - al
ko ak
al - bi
kr - da
ku - eł
sr ka
Da - id
bi - un
eg - da
pi ta
Wa - ek
gl - na
ał - kt
na sd
ot - wa
ti - ał
Ja - us
gr ka
la - pa
Ag - ta
Pa - ys
St - ka
kl ka

Grzebieniówka.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy tytuł jednego z utworów Słowackiego (dwa wyrazy).

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Ryba morska. 2. Prowincya włoska. 3 Badanie chemiczne 4. Gra towarzyska. 5. Barwa. 6. Sportowiec.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Karzełek pieści jego szczenię, ja pojazd.

Bilety wizytowe.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

IL POT.

STAN I MYSZA.

ZEN. TORPYHY.

MAT. Y. KOTARSKI.

Z. PANCKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Łamigłówka:
Tor
rak
ząb
era
oał
iwa
mól
Ali
jod
ara.

Zadanie do przestawienia: Czepił się go, jak pijany płotu.

Logogryf:
J
a s
n o s
o k o ń
l i m a n
b r a n k a
R o d a n
A d a m
c a p
h i
t

Zadanie do przestawienia: Kogo bogi miały wrogiem, zrobiły go pedagogiem.

Logogryf:
G a b l o t k a
a r e o m e t r
f a t a l i z m
s c h a d z k a
g u m i g u t a
a m a r y l k a
g a n g r e n a
f o n e t y k a
r o b a t y u a
g l o r y o z a
k a l a r e p a
f i l o x e r a
g u w e r n e r
a l e o p a t a
l e g a w i e c

Szarada: Karabin.

Okienko:
N e r w a
e a m
r a n g a
w g n
a m a n t

Zadanie do przestawienia: Mówił dziad do obrazu, a obraz do dziada ani razu

Bilety wizytowe: Znachor. Drogomistrz. Etnograf. Respicyent Marynarz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, K. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, M. Winiarska Lwów, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, E Bogdalska Koropuż, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, E. Winter Tarnów, S Freilich Stryj, Książek Miejsce Piastowe, M. Dyrdzińska Przemyśl, Chor Brandys poczt pol. 293.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **E. Laskowski, Jordanów.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Czyn godny naśladowania. Komitet wystawy i loteryi dzieł sztuki we Lwowie otrzymał pismo Rady gminnej w Tustanowicach, przekazujące kwotę 5.000 kor. na zakupno losów loteryi, względnie na fundusz zakupna warsztatów rękodzielniczych dla ociemniałych w wojnie żołnierzy, pochodzenia galicyjskiego. Na ten sam cel, nadesłali między innymi: Wydział Rady Powiatowej w Kałuszu kwotę 400 kor., lwowskie Tow. akc. browarów 1000 kor., dr. St. hr. Mycielski 1000 kor., hr. Stanisław Badeni 1000 kor., dr. Marceli Schaff 500 kor. i t. d., zaś panna Jadwiga Sienkiewiczówna od komitetu generalnego w Vevey wręczyła na ręce przewodniczącej komitetu, Karoliny hr. Dzieduszyckiej, kwotę 2000 koron.

Ciągnienie loteryi odbędzie się 15 września b. r.

Termin ciągnienia loteryi dzieł sztuki na utworzenie funduszu zakupna warsztatów rękodzielniczych dla ociemniałych w wojnie żołnierzy, pochodzenia galicyjskiego, przesunięty został z dnia 1 lipca b. r., a losowanie odbędzie się nieodwołalnie 15 września b. r. Do przesunięcia terminu skłonił komitet fakt, iż wielkiej ofiarności jakiej komitet doznaje od naszych instytucyi, władz tak we Lwowie jak i całej Galicyi, oraz osób prywatnych, do których komitet zwrócił się o poparcie, nie sposób jest w tak krótkim przeciągu czasu, to jest do 1 lipca zlikwidować. Przesunięcie terminu losowania, wyjdzie nadto tylko na korzyść posiadających losy, gdyż wielu z pp. artystów po 1 lipca przysyła dalsze swe dzieła, przez co w znacznej mierze podnoszą się szanse wygrania na tej loteryi, która posiada już tyle wygranych, ile żadna inna loterya dotąd, jak świadczy o tem trwająca w gmachu Izby handlowej wystawa dzieł, przeznaczonych do rozlosowania.

Adres biura komitetu: Ulica Akademicka 17, parter (Gmach Izby handl. przem.).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.